FUSS MAGAZYN

NUMER 20 (5) LISTOPAD 2016
ISSN 2300 - 3758
WWW.FUSS.COM.PL

100 % NATURAL

SPIS TREŚCI.

NATURA W SZTUCE CZY SZTUKA W NATURZE? 4
PAULINA ZIĘCIAK | ANNA TEODORCZYK

WSPÓŁCZESNY SQUATTING – RELIKT, REALNA OPCJA CZY MIEJSKA UTOPIA? 8
KATARZYNA NOWACKA | WERONIKA „WERA" GRZYWA

SZTUKA POSTNATURY, NATURA POSTSZTUKI 14
KAROLINA ŻYNIEWICZ

ZJAZD W GŁĄB - ŚLĄSKOŚĆ W RELACJI Z NATURĄ 18
MATEUSZ TOFILSKI | MATEUSZ GAWRON

BURNING MAN – NIECH PŁONIE! 22
ANNA SOBCZAK | ANNA KRZTOŃ

PSZCZOŁY NA PROPSIE! 28
MAGDALENA ZARĘBSKA - WĘGRZYN

EKO-TERROR? 31
BARTŁOMIEJ K. KRZYCH | DAWID MALEK

SPIS TREŚCI.

EKOLOGIA NA TALERZU 35
ASJA MICHNICKA | KAROLINA DANEK

RZECZYWISTOŚĆ W OGNIU 39
BARBARA RUSINEK | ANNA ŁAZOWSKA

PESTECZKA 46
KRZYSZTOF PIETRALA | AGATA TRYBUS

PORADNIK ZIELONEJ WOKALISTKI – ROZMOWA Z RENI JUSIS 50
DOMINIKA JANIAK | KAJETAN VON KAZANOWSKI

FOREVER VAMA VECHE 56
PAWEŁ SŁOŃ | MAŁGORZATA MACIEJEWSKA

PAJĘCZAKI I PAWIE, CZYLI WYPISKI Z ZAKAUKAZIA 62
AGATA WIECZOROWSKA

© FUSS MAGAZYN
ISSN 2300-3758

REDAKCJA:
REDAKTORKA NACZELNA: MAGDALENA URBAŃSKA
ZASTĘPCZYNI REDAKTORKI NACZELNEJ, SKŁAD: KLAUDYNA SCHUBERT
REDAKCJA I KOREKTA: MARTA STAŃCZYK
ILUSTRACJA NA OKŁADCE: ANNA TEODORCZUK

WYDAWCA:
KREATOR
UL. PRZEWÓZ 40D/76
30-716 KRAKÓW

WWW.FUSS.COM.PL | REDAKCJA@FUSS.COM.PL

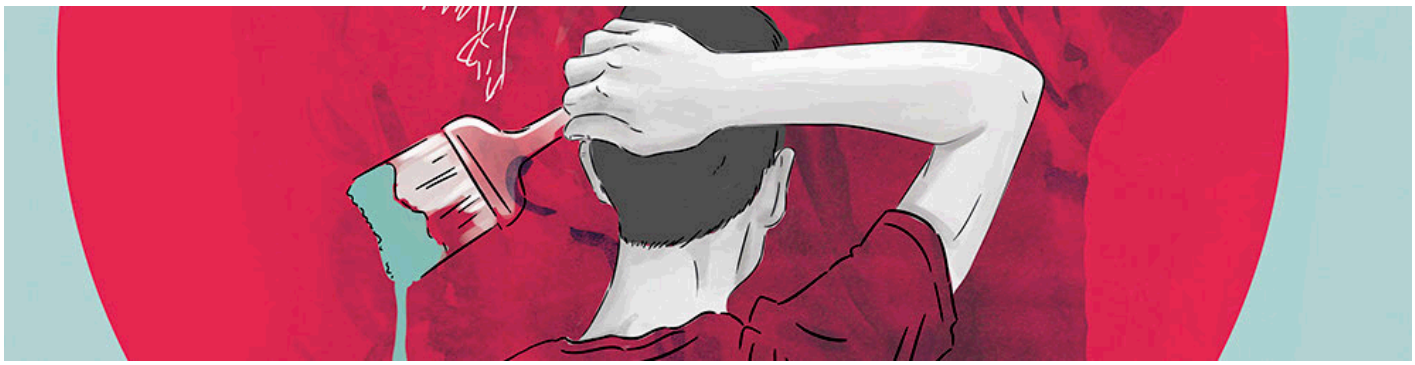

NATURA W SZTUCE CZY SZTUKA W NATURZE?

PAULINA ZIĘCIAK | ANNA TEODORCZYK

Eko styl życia – odżywianie, zakupy, ubrania, kosmetyki i formy spędzania wolnego czasu. Oszczędzanie zasobów naturalnych, uprawianie sportu, wegańskie lub wegetariańskie jedzenie, porzucenie foliowych reklamówek na rzecz płóciennej torby, wybieranie kosmetyków nietestowanych na zwierzętach. Z tym kojarzy nam się przede wszystkim ekologia, ale czy ma również wpływ na sztukę?

Sztuka od zawsze była silnie związana z motywem natury. Motyw ten był przetwarzany zgodnie z filozofią danej epoki, jej estetyką oraz reprezentowanymi w tym czasie konwencjami artystycznymi. Obecne spojrzenie na naturę oraz wykorzystanie jej elementów w dziele sztuki jest silnie związane z ewolucją tego motywu ikonograficznego. Nie wyzbywa się cech pochodzących z okresów wcześniejszych, równocześnie odpowiadając dzisiejszym realiom – fascynacjom zdrowym stylem życia, ekologią, tradycją i kulturą ludową czy dobrym traktowaniem zwierząt.

W STRONĘ TRADYCJI

Najpopularniejszym odwołaniem do motywu przyrody są pejzaże i martwa natura. W Niderlandach wykształciły się przedstawienia martwych natur, które zyskały autonomię – wcześniej nie były niezależnym tematem, a „dodatkiem" do scen figuralnych, w których pełniły funkcje alegoryczno-moralizatorskie. Dominowały bukiety i kompozycje floralne oraz zastawione stoły, które cechował skrajny realizm, a z czasem nabrały charakteru paraboli i wieloznaczności. Do najbardziej znanych należą te naznaczone motywem wanitatywnym, wprowadzające martwą naturę na grunt barokowy.

To również mistrzowie niderlandzcy w epoce renesansu jako pierwsi usamodzielnili przedstawienia krajobrazów. Malarstwo włoskie nie pozostawało jednak obojętne na świat przyrody – zgodnie z ideą humanizmu człowiek miał pozostawać w harmonii z naturą. Zgodnie z tym ideałem tworzył m.in. Giorgione. W jego alegoryczno-symbolicznych kompozycjach świat przyrody stał się

dominantą obrazu, a nie tylko tłem dla pierwszoplanowych scen.

Kolejnym ważnym momentem w dziejach ikonograficznych przeobrażeń przyrody był okres romantyzmu, który dążył do łączności człowieka ze światem natury i światem wewnętrznym. Według romantyków „czucie i wiara silnej mówi do mnie niż mędrca szkiełko i oko" (jak w *Romantyczności* pisał Mickiewicz), a fascynacja światem przyrody wiązała się z jej psychizacją, ukazywano jej tajemniczość, nastrój grozy oraz duchowość. Na szczególną uwagę zasługuje romantyzm angielski, obfitujący w przedstawienia melancholijnych, rodzimych pejzaży i dynamiczne sceny gwałtownych zjawisk przyrody, w których wsławili się John Constable oraz William Turner. Nowy wymiar motyw przyrody zyskuje w tym samym czasie w malarstwie niemieckim. Caspar David Friedrich pokazując „duszę zjawisk przyrody", prezentuje własną wizję świata, zestawiającą samotnego człowieka z mocą natury oraz artefaktami religijnymi.

Wiek XX wprowadza ideały impresjonistów, którzy wychodzą malować przyrodę w plenerze – bez idealizacji, poprawek, ale pod wpływem wrażeń, bieżących reakcji i bodźców. Jednak dla dzisiejszego postrzegania motywu przyrody w sztuce szczególne znaczenie miały lata 60. i 70., kiedy zmienia się pojmowanie estetyki. Do głosu dochodzi sztuka konceptualna oraz performance, które są motorem do wyłonienia się sztuki ziemi. Elementy krajobrazu nie są tu już przenoszone na płótno w kontekście tematu czy symboliki, ale wykorzystywane są bezpośrednio – powstają monumentalne realizacje w plenerze lub instalacje w muzeach, które wykorzystując jednak materiały naturalne. Dla artystów łączonych ze sztuką ziemi ważnym czynnikiem był aspekt niszczenia – pod wpływem wiatru, wody lub w wyniku samodestrukcji.

Przy wykorzystaniu fizycznych, strukturalnych i technicznych możliwości flory i fauny – rozkładu, przeobrażenia czy rozwoju – początkowo pozostające jedynie motywem ikonograficznym lub symbolicznym, stają się z przedstawianych – przedstawiającymi, nośnikiem treści, a nie samą treścią.

FETYSZ I ROZKŁAD

Ciekawym tego przejawem jest wykorzystywanie w pracach materiałów organicznych oraz biodegradowalnych. Wprowadzane do obiektów, instalacji czy asamblaży pełnią funkcję „recyklingu". Doskonałym tego przykładem są rzeźby Pawła Althamera, do których przygotowania artysta wykorzystuję słomę, trawy oraz skórę i jelita zwierzęce. Materiały te podlegają degradacji, przeobrażeniom i rozkładowi. Artystę inspirują kultury pierwotne, totemy i fetysze, którymi zafascynował się po podróży do Afryki. W społecznościach plemiennych totem pełnił funkcje magiczne, pozwalające łączyć się z przodkami, światem zmarłych, przyrodą lub z bogiem. Althamer przenosi te idee do swoich prac, chcąc stworzyć ciągłość o charakterze ludowej odrębności i nawiązań do tradycji.

Reprezentatywna dla jego twórczości była już praca dyplomowa, w której artysta wykonał autoportret rzeźbiarski, wykorzystując wcześniej wspomniane naturalne materiały, wraz z projekcją wideo. Film pokazywał wyjście artysty z uczelni, jego drogę na łono natury i ostatecznie zrzucenie ubrania, mające doprowadzić do całkowitego zespolenia z naturą.

ŻYWY POMNIK

Althamer wykorzystuje elementy ze świata przyrody, jednak same te elementy mogą stać się niezależnym dziełem sztuki. Wszyscy znamy pomniki przyrody. Przykła-

DLA ARTYSTÓW ŁĄCZONYCH ZE SZTUKĄ ZIEMI WAŻNYM CZYNNIKIEM BYŁ ASPEKT NISZCZENIA.

dowo Dąb Bartek, który ponad sześć dekad temu zyskał ten status, ma niezaprzeczalne walory – wiek, rozmiar, historię, ale nie zrobią one z niego pomnika w rozumieniu dzieła sztuki, gdyż nie przyczyniła się do nich ingerencja (fizyczna bądź konceptualna) artysty. Nie oznacza to jednak, że drzewo lub obiekt przyrody nie mogą stać się dziełem sztuki. Dokonuje tego w akcji performatywnej Łukasz Surowiec, przeobrażając drzewo w żywy pomnik pamięci. W pracy *Berlin-Birkenau* artysta przesadza drzewa znajdujące się na terenie dawnego obozu koncentracyjnego Auschwitz do miejsc publicznych w stolicy Niemiec – lokuje je w parkach, na rondach, przy szkołach. Wydarzeniu towarzyszyła szeroko zakrojona akcja społeczna, w którą zostali zaangażowani mieszkańcy miasta i lokalne grupy. Artysta w swoim projekcie chciał odwołać się do problematyki pamięci – podobnie jak drzewom należy jej się ochrona. Zaangażowani mieszkańcy skupiając się na pielęgnowaniu rośliny, pielęgnowali również pamięć, a drzewa, „świadkowie zdarzeń", zmieniając swoją lokalizację, stały się, nośnikami treści i bodźcami do refleksji.

MUZYKA DLA RYB

Zaangażowanie natury w sztukę odbywa się nie tylko w kwestiach przystosowania krajobrazu, materiału syntetycznego czy samych roślin, ale również gatunków żywych. Najbardziej znanym artystą angażującym zwierzęta w sztuki plastyczne jest Piotr Lutyński. Artysta „adoptowane" zwierzęta, najczęściej ptaki, wprowadza do swoich instalacji artystycznych, maluje dla nich obrazy, tworzy poezję oraz muzykę. W ptasich klatkach umieszcza abstrakcyjno geometryczne płótna, dla gęsi tworzy „domy" z pełnym wyposażeniem, a dla ich jaj – gniazda z zaadaptowanych mebli. Jest to z jednej strony zabieg skierowany w kierunku zwierząt, z drugiej – w kierunku widza. Artysta dla swoich podopiecznych chce stworzyć przyjemną atmosferę, aranżuje im życie. Do akcji performance wybiera osobniki zdegradowane, pochodzące z hodowli, porzucone, wychowane w nienaturalnych środowiskach. Z jednej strony zwierzęta stają się elementami obiektów – na geometrycznych tłach przelatują ptaki, ale mimo że są one elementami prac, są również ich odbiorcami. Trudno w pierwszej chwili ocenić, czy praca została stworzona dla widza, czy dla zwierzęcia. Nadrzędną ideą sztuki Lutyńskiego jest bowiem zespolenie sfer kultury i natury.

Wszystkie możliwości wykorzystania elementów przyrody w sztuce, niezależnie od celów i intencji artysty oraz sposobów jej przetworzenia, prowadzą do ogólnej refleksji – człowiek jest nieodłącznym elementem świata przyrody: jest jednym ze zwierząt, dla których Lutyński tworzy swoje prace, jest nośnikiem pamięci – tak jak drzewa Surowca, i materiałem podlegającym destrukcji – jak alterego Althamera.

PAULINA ZIĘCIAK
Studentka V roku historii sztuki. Interesuje się malarstwem XIX i XX wieku, sztuką współczesną oraz ilustracją książkową, głównie dla dzieci. Poza tym uwielbia Sherlocka Holmesa oraz serial House of Cards.

ANNA TEODORCZYK
Z zawodu ilustratorka, z potrzeby autorka bloga Anna Alternatywnie o sztukach wizualnych i kulturze. Namiętny czytelnik literatury różnej oraz wierny fan gier typu point&click z ambicją na zostanie twórcą co najmniej jednej z tych rzeczy.

WSPÓŁCZESNY SQUATTING – RELIKT, REALNA OPCJA CZY MIEJSKA UTOPIA?

KATARZYNA NOWACKA | WERONIKA „WERA" GRZYWA

Kultura squattingu pojawiała się już wielokrotnie w moich tekstach i nie miałam na razie zamiaru wracać do tej tematyki, jednak ciągle zadziwiająco często zdarza mi się napotykać nierozumiejące spojrzenia połączone z pytaniem: „A co to jest squat?". Jako że cierpię na poważne poczucie misji względem tej problematyki, nie mogę pozostawić takiego pytania bez odpowiedzi. Tym bardziej, że zjawisko prawie już zapomniane odzyskuje popularność (choć w nieco innym kształcie) oraz coraz lepiej wpisuje się w aktualne ekotrendy i modę na samowystarczalność.

Może wytłumaczę się jeszcze, że sama nigdy nie mieszkałam w squacie, ale śledzę ich kulturę mniej więcej od 5 lat, regularnie odwiedzam podobne miejsca w wielu europejskich miastach oraz mam kilkoro znajomych, którzy zdecydowali się na podobny styl życia. No właśnie, podobny – czyli jaki? Zacznijmy od podstaw.

FUCK THE SYSTEM

Squatting to – z definicji – nielegalny proces zajmowania pustostanów w celach zarówno mieszkalnych, jak i stworzenia w nieużywanych budynkach przestrzeni do działalności kontrkulturowej czy artystycznej. Chociaż zjawisko to istniało od wieków, kojarzone jest z epoką hipisów oraz ruchami alternatywnymi i anarchistycznymi, a jego rozkwit nastąpił w latach 60. i 70. XX wieku. Warto podkreślić, że nie chodziło tylko i wyłącznie o zdobycie bezpłatnego zakwaterowania – ludzie tworzyli niewielkie społeczności w opozycji do kontestowanej rzeczywistości, dystansując się od kultury masowej, konsumpcjonizmu, konformizmu czy niezadowalającej polityki społecznej. Podobne wspólnoty mogły mieć różne zabarwienie ideologiczne, często jednak lewicowe. Podejmowały kwestie takie jak ekologia, antyglobalizm, feminizm, walka z rasizmem, dobro zwierząt, mistyka, sięgano również po tematykę queerową. W skrócie rzecz ujmując, wściekli na

system aktywiści budowali alternatywne centra społeczno-kulturowe, które znajdując się w centrum metropolii, wyrażały sprzeciw wobec ogarniającego ją kapitalizmu i niesprawiedliwości ekonomiczno-społecznej.

Taka definicja nie odbiega daleko także od kształtu dzisiejszych squatów. Całe przedsięwzięcie może wydawać się dość ekstremalne, niebezpiecznie zaangażowane politycznie, no i przede wszystkim nielegalne, łamiące prawo do własności prywatnej. Nie próbuję nikogo przekonać, żeby dał się wyrzucić z własnego domu i oddał go squattersom, ale jeśli budynek stoi pusty od wielu lat i niszczeje, to dlaczego nie wykorzystać go w celach zarówno mieszkalnych, jak i do stworzenia miejsca dla jakiejś ciekawej i pożytecznej dla sąsiedztwa działalności społecznej i artystycznej? Dzicy lokatorzy przeważnie wkładają zresztą wiele zaangażowania i wysiłku w odpowiednie zagospodarowanie przestrzeni – nierzadko remontują przejęty budynek, ratując go tym samym od popadnięcia w kompletną ruinę, a oprócz przystosowania wnętrza do warunków mieszkalnych zakładają bardzo wiele inicjatyw, z których skorzystać mogą nie tylko mieszkańcy, ale również wszyscy sympatycy podobnych idei oraz właściwie każdy w potrzebie. W squatach powstają często galerie sztuki, kina, teatry, sceny koncertowe, kolektywne kuchnie, bary, kawiarnie, punkty naprawy rowerów, biblioteki, kluby dyskusyjne, biura porad prawnych, zajęcia dla dzieci, warsztaty szycia albo pieczenia, punkty poboru żywności, która niedługo się przeterminuje, często świadczona jest pomoc ubogim i bezdomnym, chętnie witani są też ekspaci.

Istotnym elementem tej układanki jest fakt, że większość zajęć jest bezpłatnych i jedynie niektóre z nich oparte są na dowolnych datkach, co w praktyce oznacza, że ktoś, kogo nie stać np. na opłacenie posiłku, bez wstydu może zjeść go za darmo; przeciętny gość zapłaci jakieś 2-5€, a będą i tacy, którzy bezgranicznie wspierają inicjatywę i mogąc sobie na to pozwolić, przy przypadkowej okazji uzupełnią słoik – „kasę" – o 20€. Przy okazji rozliczenia nikt nikomu nie patrzy na ręce, nie ma też ustalonej procedury, w którym momencie należy zasilić taki bank; każdy płaci, kiedy chce, tyle, ile uważa. Nikt nie czuwa przy szklanym naczyniu pełnym pieniędzy, a mimo to nie słyszałam nigdy o żadnym przypadku kradzieży ani nie widywałam gości migających się od płatności. Schemat

„DZIEŃ DOBRY, CHCIAŁBYM ZAJĄĆ JAKĄŚ NIERUCHOMOŚĆ". „OCZYWIŚCIE, Z CHĘCIĄ PRZEPROWADZIMY PANA PRZEZ CAŁY PROCES; POLECAMY ZESQUATTOWANIE BUDYNKU X PRZY ULICY Y". TRUDNO SOBIE COŚ TAKIEGO NAWET WYOBRAZIĆ, PRAWDA?

ten jest kolejną charakterystyczną cechą społeczności squattersów – oparte one są na zaufaniu i gromadzą ludzi o podobnym systemie wartości.

Rzecz jasna, w każdej grupie społecznej znajdą się zawsze jakieś ekstremistyczne mniejszości, które zafałszowują wizerunek całego ruchu, stąd squaty kojarzą się czasami negatywnie – ludzie obawiają się kryminalizacji dzielnicy, pijaństwa, narkotyków itd. Nie zdają sobie sprawy, że w rzeczywistości podobne miejsca bardzo często funkcjonują jak lokalne (darmowe!) domy kultury. Wizerunek squattersów zagrażających „normalnym" ludziom zafałszowuje obraz i często nie pozwala dostrzec, jak wiele korzyści może przynieść lokalnej społeczności tego typu oddolna organizacja. Warto zwrócić też uwagę na aspekt gościnności: squattersi wkładają wiele pracy w odpowiednie przystosowanie budynku oraz organiza-

cję rozmaitych wydarzeń i spotkań, a my, uczestnicząc w eventach, jesteśmy *de facto* zapraszani do ich domu. Ja postrzegam squaty jako unikatowe punkty wymiany idei, kultury, umiejętności i towaru – uważam, że warto wspierać i naśladować podobne inicjatywy. Dla rezydentów i stałych współpracowników squatting jest ideą absolutną, która determinuje ich styl życia, ale również goście odwiedzający takie miejsca sporadycznie mogą korzystać z ich oferty, nabrać oddechu i otworzyć się na nowe doświadczenia, a nade wszystko zobaczyć, że można inaczej.

ZNALEŹĆ, ZAJĄĆ, ZAMIESZKAĆ, ZAPRASZAĆ

Kiedy nie byłam jeszcze zbyt dobrze zorientowana w temacie, wydawało mi się, że samo znalezienie budynku i zajęcie go to jakiś szalenie skomplikowany proces. Do momentu, aż pewnego razu zapytałam o to któregoś z mieszkańców. „Jak znajdujemy odpowiednie miejsce?" – nieco zdziwiony odpowiedział pytaniem na pytanie. „Normalnie – chodzimy ulicami, zaglądamy w okna, szukamy pustych budynków, obserwujemy okolicę. Tyle. Wreszcie coś się pojawia". Prostota tego rozwiązania była dla mnie kompletnym objawieniem. Z ciekawości podobne pytania zadawałam jeszcze wielokrotnie: różnym ludziom, w różnych miastach. Historia zawsze była ta sama. „Musicie się wyprowadzić? Rany, to co wy teraz zrobicie…?!" – rozpaczałam nierzadko. „No nic, będziemy chodzić po mieście i szukać nowego domu…".

W Amsterdamie, który śmiało można nazwać światową stolicą squattingu, niedobór mieszkań wywołał poważną desperacje społeczną i w latach 70. i 80. masowo zajmowano tam niezamieszkałe nieruchomości. W ten sposób zakwaterowanie znalazło nawet 50 tysięcy osób, a squattersi przy okazji uratowali od zniszczenia wiele cennych, historycznych budynków. Na fali ruchów anarchistycznych dochodziło niejednokrotnie do starć z policją, jednak przeważająca część lokali była przez swoich rezydentów remontowana i zamieniana w centra kultury i pomocy społecznej. Niektóre z takich instytucji (sądzę bowiem, że śmiało można je tak nazywać) przetrwały nawet po kilkadziesiąt lat i często doczekały się legalizacji swojej działalności czy nawet wykupienia i legalnego przejęcia nieruchomości. I tutaj kolejna ciekawostka: w latach 1994-2010 squattowanie było w Holandii legalne. Wystarczyło, że budynek nie był używany od roku, a jego właściciel nie miał do przedstawienia realnego planu na jego rychłe zagospodarowanie. Istniały nawet specjalne agencje zajmujące się doradztwem w tej kwestii. „Dzień dobry, chciałbym zająć jakąś nieruchomość". „Oczywiście, z chęcią przeprowadzimy pana przez cały proces; polecamy zesquattowanie budynku X przy ulicy Y". Trudno sobie coś takiego nawet wyobrazić, prawda? Jeśli chodzi o samo zajęcie budynku, trick polegał na niepozostawieniu po sobie śladu włamania, ponieważ niszczenie cudzej własności jest już przestępstwem, oraz na pokazaniu, że wykorzystuje się przestrzeń na potrzeby mieszkalne. Przykład: przy wtargnięciu przez okno należało od razu wstawić nową szybę, żeby zlikwidować jakiekolwiek szkody, a do środka wstawiało się natychmiast łóżko i stół.

Oczywiście zawsze musi pojawić się jakaś reakcja, więc zaczęły powstawać organizacje antysquattingowe, które ułatwiały tymczasowy niedrogi wynajem, aby pomóc właścicielom wykazać, że ci użytkują jakoś swój lokal. Status prawny zależy od państwa i lokalnych przepisów; niezwykle istotnym aspektem może być też przychylność miejscowej społeczności i dobre stosunki sąsiedzkie. Wiele squatów, rozwinąwszy działalność artystyczną i społeczną oraz zaznaczywszy swoją obecność na mapie miasta, starało się o permanentną lokalizację dla prowadzonej działalności i dążyło do legalizacji swojej sytuacji. Budynki czasami dało się zająć przez zasiedzenie, zdarzały się korzystne układy z właścicielami budynków (np. remont i utrzymywanie w dobrym stanie w zamian za długoterminowe pozwolenie na pobyt), pojawiały się nawet przypadki wykupienia nieruchomości przez jej rezydentów. Eksmisje zdarzają się jednak na porządku dziennym, a na fali masowego zamykania squatów w Holandii, zniknęło wiele ikonicznych centrów artystycznych i społecznych. Tym zmianom nie oparł się nawet de Slang – 32-letni, najstarszy w mieście squat i ostoja kultury, za którym ostatecznie wstawiła się nawet rada miasta, zamknął podwoje w zeszłym roku. W jego miejscu, w samym sercu miasta zresztą, już niebawem ujrzymy parkingi i apartamentowce.

W Brukseli, gdzie zjawisko nie jest aż tak popularne, nie znalazłam więcej niż dziesięciu squatów, z których najstarsze zostały zajęte około dekadę temu. Przewa-

żająca większość działa obecnie zgodnie z prawem (co niekoniecznie znaczy, że jest to sytuacja stała), chociaż zachowały swój mocno alternatywny, o ile nie undergroundowy klimat i dlatego też dalej pozwalam sobie nazywać je squatami. Niektóre mogą pochwalić się naprawdę intrygującą lokalizacją, np. La Poissonnerie mieści się w dawnym sklepie rybnym, a jej ściany ciągle zdobią białe sterylne kafelki. Bokal Royal 123 zajmuje gigantyczny budynek przy jednej z głównych ulic w centrum miasta, Rue Royale, mieszczącej wiele ważnych instytucji, banków, hoteli etc. Ciekawy i dość odrębny przypadek to Communa ASBL, zajęty przez tę wspólnotę budynek znajduje się bowiem na bogatych przedmieściach, wśród „białych" rezydencji otoczonych zielenią. Jego mieszkańcy tworzą jedną wielką rodzinę, do której od razu zapraszają swoich gości. Chociaż impreza odbywała się tam w ogrodzie, zostałam oprowadzona po całym domu (biblioteka, wegetariańska jadłodajnia, bar, wymiana ciuchów, miejsce na koncerty itd.) i zaproszona do samodzielnego poruszania się po kompleksie, łącznie np. z samodzielnym korzystaniem z lodówki. Po przepysznym obiedzie i jam session na trawie (z łażącą wokół nas kurą) śmiało mogłam stwierdzić, że to jedno z najfajniejszych miejsc, jakie widziałam w Brukseli. Finał tej historii jest jednak taki, że mieszkańcy zostaną niebawem eksmitowani i są właśnie na etapie szukania nowego domu. Budynek się zmienia, ale projekt nie umiera.

OUTSIDER Z WIZYTĄ

Jak znajduję squaty, skąd o nich wiem – zapytują znajomi. Przede wszystkim raz odkrywszy i polubiwszy takie środowisko, zawsze będziemy do niego wracać lub szukać podobnych w innych miastach. Z doświadczenia wiem, że praktycznie każda metropolia ma przynajmniej jeden squat, którego program jest na tyle popularny, że zaczęto wspominać go na pseudoalternatywnych blogach eventowo-podróżniczych (target podobnych wydarzeń jest jednak niewielki, więc nie należy obawiać się inwazji turystów). W czasie pierwszej takiej wizyty niechybnie poznamy jakichś miłych lokalsów, którzy zaproszą nas do innych alternatywnych centrów. Zwracajmy też uwagę na plakaty – squattowo-undergroundowe środowisko uwielbia tradycyjne metody dystrybucji informacji i chociaż niektórzy obecni są na fejsbuku, najpewniej produkują pokaźne ilości plakatów i ulotek, możliwe nawet, że napisanych odręcznie. No a potem to już od człowieka do człowieka, od plakatu przez ulotkę po jakiś niszowy event zawieszony w internecie i machina ruszyła, wskoczyliśmy w ten klimat. Istnieje też portal https://radar.squat.net/en (ostrzegam, interfejs, lekko licząc, sprzed 20 lat), który gromadzi i kategoryzuje kalendarz tego typu wydarzeń (*Alternative and Radical Events Agenda*) w Europie i Australii. Liczby wskazują na to, że najwięcej squatów jest w Barcelonie, natomiast z polskiego podwórka uwzględniony został jedynie poznański Rozbrat.

Sama trafiam też czasami do squatów, szukając trzech różnych punktów programu:

- warsztatu rowerowego: w każdym mieście kupuję sobie dwa kółka, ale nie jestem gotowa płacić milionów monet za drobną naprawę, a do tego lubię spotykać bratnie dusze – innych zapalonych cyklistów. Wiele squatów organizuje takie cotygodniowe rowerowe majsterkowanie, podczas którego sami, oczywiście z pomocą fachowców, naprawimy swój pojazd, nie płacąc za to nic albo zupełne grosze na pokrycie kosztów jakiejś części. Zdarza się też, że takie środowiska są powiązane np. z masami krytycznymi.

- projekcji filmowych: kino w niezwykłym entourage'u; mniej lub bardziej profesjonalne pokazy, które również często należą do regularnego programu squatów.

- wegańskie jedzenie: pyszne, zdrowe, wieloskładnikowe, świetnie przyprawione, wielkie porcje, opłata dowolna – czego więcej chcieć? Rzadko zdarza mi się zjeść tak porządny obiad. Produkty, z których przygotowywane są dania bardzo często pochodzą „z odzysku", więc przy okazji walczymy z procederem marnowania żywności. Zdarza się też, że organizatorzy rozdają produkty o krótkiej dacie przydatności do spożycia – możemy je sobie po prostu wziąć do domu.

Jeśli chodzi o atmosferę w squatach, to – jak wszędzie – nie ma reguły i zależy, na jakich ludzi trafimy. Bywa tak, że już od wejścia ktoś nas wita, wypatrzywszy nową twarz. Wiele razy zdarzyło mi się, że jakiś mieszkaniec squatu albo organizator danego eventu oprowadzał mnie po całym budynku, opowiadał o cotygodniowej ofercie oraz przedstawiał innym obecnym. Zdarza się jednak, że wchodzimy do środka absolutnie niezauważeni i nikogo szczególnie nie interesuje, co tam robimy. Pierwszym krokom w takim alternatywnym środowisku towarzyszy czasami pewna doza niepewności i lekkie zakłopotanie – nie zawsze znamy miejscowe kody postępowania i nie do końca wiemy, jak się zachować oraz jak fizycznie odnaleźć się w przestrzeni. Nie jest to raczej zabawa dla ludzi pasywnych i bardzo nieśmiałych, ponieważ interakcja jest jej koniecznym elementem: warto zaczepić kilka osób, podpytać o historię miejsca i cotygodniowe zajęcia, rozejrzeć się dokładnie po całym lokalu, przysiąść się do kogoś i chwilę porozmawiać. Możemy w ten sposób trafić na wiele ciekawych opowieści i porad od lokalsów oraz otrzymać zaproszenia na kolejne zajęcia i imprezy w tym i podobnych mu miejscach.

Z pewnością jest to również kwestia indywidualna i jedne miejsca przypasują nam bardziej niż inne; ja zwykle odwiedzam squaty nie na tyle często, żeby zostać najlepszą przyjaciółką wszystkich zgromadzonych, ale, powiedzmy, raz–2 razy w tygodniu, to na obiad, to na projekcję filmową. Rozpoznaję zwykle część twarzy, niektórzy się ze mną witają. Mile widziana jest też zawsze

pomoc: jeśli na przykład zauważam, że ktoś coś potrzebuje przenieść, przełożyć, sprzątnąć etc., to nie zastanawiam się, tylko po prostu pomagam – w więcej osób pójdzie szybciej, a dodatkowo w ten sposób stajemy się częścią danego miejsca, nieco bardziej „swoi". Częściowo to od naszej proaktywnej postawy zależy więc, na ile dobrze poczujemy się w squacie i ile wyciągniemy z wizyty w nim. Drzwi otwarte są dla wszystkich, ale ostrzegam, że jeśli ktoś woli święty spokój i jest zwolennikiem wyeliminowania kontaktu międzyludzkiego we wszystkich usługach, to squat nie będzie dla niego – tutaj trzeba z kimś porozmawiać, czasami o coś zapytać i ogólnie odnaleźć się w nowej sytuacji. I umyć po sobie naczynia – nie przyszłoby mi do głowy, że ktoś może mieć z tym problem, ale spotkałam już kilka osób, które doznawały niemalże napadu paniki na samą myśl, że muszą opłukać talerz we „wspólnym" zlewie. W squatach często spotyka się cudzoziemców, którzy szukają zarówno alternatywy wobec oficjalnej i czasami trudno dostępnej kultury, jak i oferty kulturalnej i gastronomicznej tańszej od komercyjnych lokali i wydarzeń – w podobnym środowisku dużo łatwiej o zbudowanie brakującego poczucia wspólnoty. Ja bardzo lubię tę inkluzyjność oraz dzielenie różnych doświadczeń i zawsze z szerokim uśmiechem na twarzy wracam do domu z naprawionym (prawie) własnoręcznie rowerem, brzuchem pełnym pysznego, zdrowego jedzenia i organicznego piwa i torbą wypakowaną po brzegi warzywami z odzysku. Uwielbiam fakt, że ludzie ze sobą rozmawiają – dzięki temu mamy okazję poznać kogoś, dzieląc z nim posiłek, albo podyskutować o wspólnie obejrzanym filmie, zamiast uciekać z anonimowego kina jeszcze zanim zapalą się światła po seansie.

Ogólnie idea takiej prawie samowystarczalnej społeczności wydaje się niezwykle atrakcyjna, przynosi bowiem korzyści, aktywizując nie tylko rezydentów squatów, ale i okolicznych mieszkańców oraz w ogóle sympatyków kultury. Problem polega jednak na nieakceptowanym społecznie (i prawnie) sposobie zajmowania budynków, ale aktywistów rozpoczynających dopiero swoją działalność, nigdy nie będzie stać na wynajęcie czy wykupienie budynku. Pewnie nie byliby oni zresztą zainteresowani stworzeniem normalnego modelu biznesowego. Tak czy siak jestem zwolenniczką podobnej samoorganizacji. Równocześnie jestem pełna podziwu dla ludzi, którzy absolutnie związują się nie tyle z konkretnym miastem, co wręcz dzielnicą i budynkiem, poświęcając wiele lat swojego życia na rozwijanie lokalnych projektów.

Chociaż w Amsterdamie pozamykano większość squatów i sama ciągle słyszę historie znajomych, którzy szukają nowych lokalizacji po eksmisji z dotychczas zajmowanych budynków, wydaje się, że trend nie znika całkowicie i w wielu miastach można ciągle spotkać takie alternatywne centra kultury. Nigdy nie wiadomo, co będzie z nimi dalej, więc tym bardziej polecam wizyty w nich. Widzimy się na obiedzie w squacie!

„ZDARZA SIĘ JEDNAK, ŻE WCHODZIMY DO ŚRODKA ABSOLUTNIE NIEZAUWAŻENI I NIKOGO SZCZEGÓLNIE NIE INTERESUJE, CO TAM ROBIMY.

KATARZYNA NOWACKA
Krakuska, miastofilka, miłośniczka morza i żyraf, absolwentka filmoznawstwa. Interesuje się kulturą, podróżami i sportem. Ma słomiany zapał, ale dzięki temu ciągle się czegoś uczy.

WERONIKA „WERA" GRZYWA
Absolwentka Uniwersytetu Śląskiego (filia w Cieszynie), na kierunkach Edukacja Artystyczna i Grafika. Zajmuje się komiksem i ilustracją. Poza tym jest potrzepaną melancholiczką, starającą się nie zwariować!

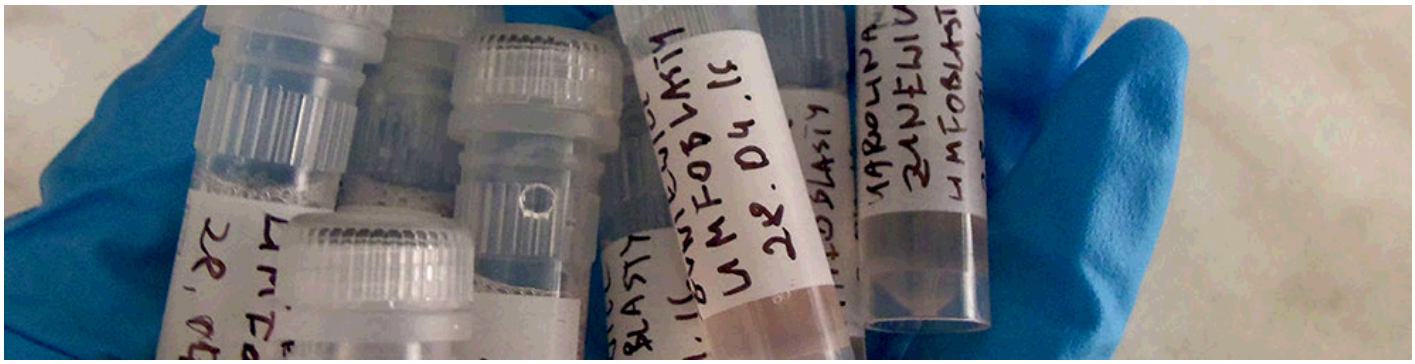

SZTUKA POSTNATURY, NATURA POSTSZTUKI

KAROLINA ŻYNIEWICZ

Postanowiłam celowo nie umieszczać w tytule terminu ,,bioart'', by zamanifestować jego hermetyzujący i spłycający charakter. Wyznacza on bowiem rodzaj szufladki (z zamknięciem w której sama zmagam się od pewnego czasu), mieszczącej w sobie artystyczne działania na życiu. Właściwie odsyła on jedynie do etapu realizacji projektów w laboratoriach biologicznych, pracy z żywą materią, pomijając zupełnie ich społeczny i krytyczny wymiar – kluczowy z mojego punktu widzenia.

Zewsząd docierają do nas informacje o dziejowych przemianach, których uczestnikami jesteśmy, postludzie w postświecie. Wydaje się, że zawładnęliśmy naturą, stała się wręcz jakby *passé*. Zatem sztuka mająca ambicję bycia współczesną i znaczącą (nie tylko dla siebie samej) musiała zwrócić się – wcześniej czy później – ku postnaturze, zamkniętej szczelnie w ścianach laboratoriów biologicznych i biotechnologicznych. Biotechnologia sama w sobie jest aktywnością twórczą bazującą na materii życia. Stała się niedoścignionym polem kreacji. Jak w takim wypadku artysta ma się zadowolić mimetyzmem i tradycyjnymi mediami? Coraz większe grono twórców zaczyna dostrzegać (z żalem lub bez), jak wiele sztuki jest poza sztuką.

Taki sposób myślenia jest bazą dla bioartu. Projekty wpisywane w ten nurt (należy podkreślić, że nie funkcjonuje w tym obszarze raczej pojęcie dzieła czy pracy) są realizowane w tajemniczym świecie laboratoryjnej postnatury, nie dla wszystkich dostępnym. Są to działania oparte o procedury badawcze, wymagające kooperacji z naukowcami, a także przyswojenia sobie sporej ilości wiedzy.

POSTNATURA A NATURA

Pojawia się pytanie, na ile postnatura ma związek z naturą? Z pewnością są one spokrewnione, ale czy łączą je silne więzi, czy raczej skutecznie oddzielają je ściany placówek badawczych? Istnienie postnatury wymaga zamkniętej sytuacji laboratoryjnej, ścisłej, choć pozornej kontroli człowieka (wystarczy wejść w świat laboratorium, jego codziennych procedur, protokołów i powtarzanych miesiącami doświadczeń, by przekonać się, jak złudne jest myślenie, że życie jakkolwiek da się w pełni kontrolować i kształtować). To w dużej mierze życie *in vitro*, dla którego gruntem są szalki Petriego i butelki hodowlane, a atmosferę wyznaczają ustawienia laminarów i inkubatorów (urządzeń umożliwiających sterylną pracę). Hodowle komórkowe czy tkankowe wymagają absolutnej sterylności. Natura im zagraża. Dlatego też byty

liminalne (np. linie komórkowe) nie mogą opuszczać laboratorium, unicestwia się je „na ich terenie". Droga jest tylko w jedną stronę – jeśli jakiś byt opuszcza warunki sterylności, już do nich nie wraca, mógłby bowiem ulec zakażeniu i zakazić pozostałe hodowle w inkubatorze. Należy zatem bardzo zadbać o to, żeby oddzielić „dziecko od matki", czyli postnaturę od natury.

Dobrym przykładem rozdźwięku między nimi jest funkcjonowanie w obu tych obszarach pojęcia nieśmiertelności. W świecie *in vitro* jest ona już możliwa, określa się tym mianem nieskończony podział komórek. Zdrowe komórki ciała dzielą się tylko określoną liczbę razy, wyznaczaną przez tzw. limit Hayflicka. Jednak na skutek błędu w genetycznej indukcji lub represji podziałów mitotycznych komórka zaczyna dzielić się bez zatrzymania, stając się zaczątkiem nowotworu, niszczącego sukcesywnie organizm. W laboratoryjnym świecie postnatury ten śmiercionośny proceder jest wręcz intencjonalnie wywoływany, gdyż umożliwia wielokrotne prowadzenie doświadczeń. Komórki mogą być unieśmiertelniane poprzez zakażenie ich np. wirusem HPV, który w warunkach *in vivo* może prowadzić do rozwoju raka szyjki macicy. Bardzo trudno zatem jest znaleźć przełożenie tych osiągnięć w świecie natury.

Postnatura funkcjonuje głównie w skali mikro, co panującym nad nią pozornie ludziom daje poczucie władzy i kontroli. Jednak bakterie, wirusy czy inne mikrobyty poza laboratoryjnym rezerwatem sieją panikę i lęk, ponieważ wymykają się ludzkiej percepcji i wdzierają niepostrzeżenie w obszar ciała. Nawet biolodzy przebywający na co dzień w krainie postnatury często obawiają się jej mieszkańców żyjących dziko w naturze. Mimo to wkroczenie w świat postnatury jest niesamowitym wtajemniczeniem, wręcz rytuałem przekroczenia – poznaje się obszar, w którym życie powstaje codziennie od nowa na podstawie coraz to nowych projektów. Człowiek jest tu w szczególnej sytuacji łącznika. Odpowiedzialny za to, by w magicznej krainie „Laminarnii" żyło się długo i szczęśliwie, sam nie mógłby w niej przeżyć.

Jürgen Habermas w książce *Przyszłość natury ludzkiej. Czy zmierzamy do eugeniki liberalnej?* pisze: „Po ranach, jakie naszemu narcyzmowi zadali Kopernik i Darwin, niszcząc nasze geocentryczne i antropocentryczne wyobrażenia o świecie, może z większym spokojem przyj-

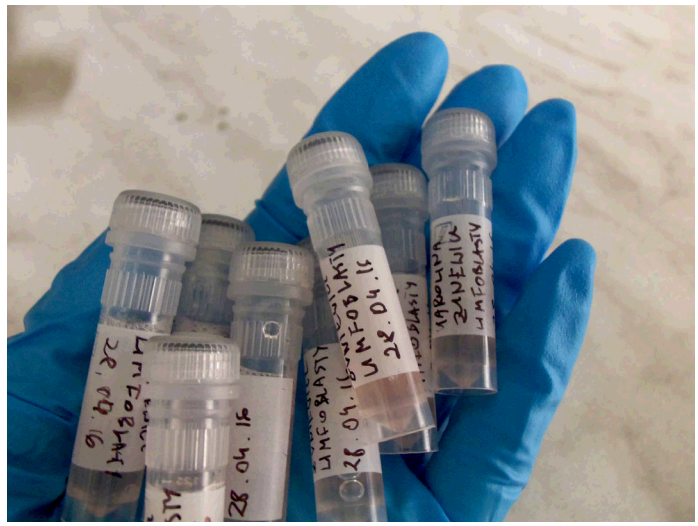

miemy trzeci akt decentralizacji – poddanie ciała i życia biotechnologii"[1]. Z kolei Joanna Żylińska w publikacji *Bioetyka w epoce nowych mediów* łączy powyższy wątek gotowości na biotechnologię z gotowością (lub jej brakiem) na bioart: „Typowe reakcje na bio-sztukę są odzwierciedleniem szerszych obaw dotyczących transformacji ludzkiego i nie-ludzkiego życia oraz techniki, która poddaje je mediacji"[2]. Brak gotowości jednostkowej i społecznej stanowi duży problem. Wspomniane przez Habermasa przełomy chyba niewiele dały, skoro doprowadziliśmy do antropocenu. Nurty kulturowe, starające się usilnie podejmować próby walki z humanizmem i antropocentryzmem – transhumanizm i posthumanizm, ciągle zdają się być jedynie fanaberiami intelektualnymi świata zachodniego. Człowiek współczesny boi się biotechnologii, dziejącej się poza jego zasięgiem, w zamkniętych instytucjach badawczych. Co więcej, boi się dowiedzieć o niej więcej, by nie czuć zagrożenia swej dominacji. Stąd być może niechęć do bio-sztuki, która stanowi pewien rodzaj przecieku informacji.

POSTNATURALNA POSTSZTUKA

Wielu artystów wykorzystuje nabyte w toku edukacji artystycznej umiejętności i sposób patrzenia na świat w bardzo różnych aktywnościach, w tym badaniach naukowych. Coraz częściej pojawia się potrzeba bycia pomiędzy, czerpania z wielu obszarów wiedzy, przekraczania granic. Z niej właśnie wyniknęło powstanie nurtu art&science, w którego obszar wpisywany jest m.in. bioart.

1 J. Habermas, *Przyszłość natury ludzkiej. Czy zmierzamy do eugeniki liberalnej?*, Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Warszawa 2003, s. 63.

2 J. Żylińska, *Bioetyka w epoce nowych mediów*, Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 2013, s. 211.

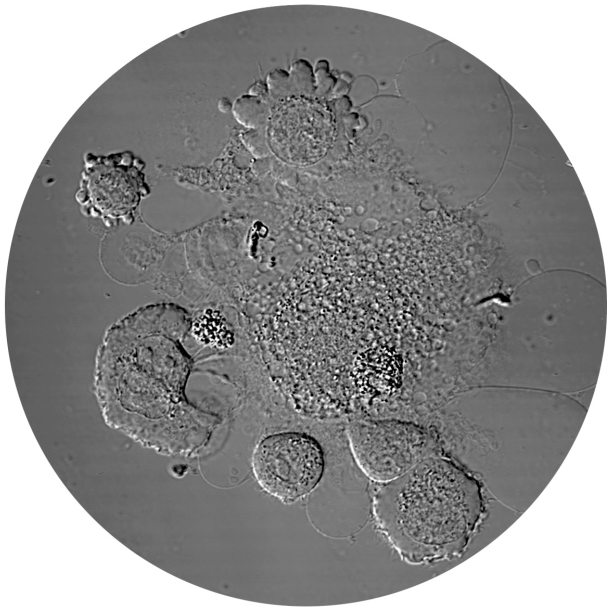

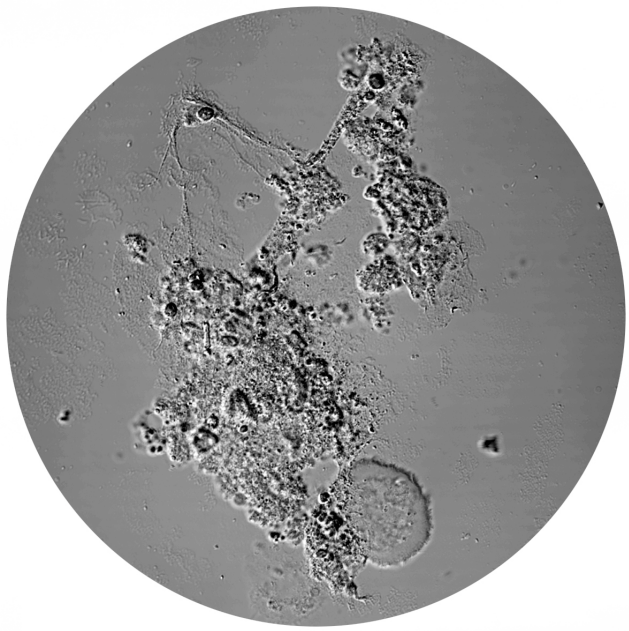

Postsztuka wykracza jakby poza siebie. Tak jak biotechnologia przekracza w pewien sposób naturę, bioart (zdecydowanie wolę określenie „żywa sztuka") przekracza ramy sztuki, wchodząc w obszar nauki, nie tylko się nim inspirując, ale też używając jego narzędzi i wykorzystując przyrodzoną mu estetykę. Żywa sztuka stara się być postsztuczna, tzn. niczego nie udawać, wydobywać ze świata to, co w nim tkwi, lub stworzyć sztuczność całkiem nową. Artyści są najczęściej jednocześnie badaczami i pedagogami. Prezentacje projektów same w sobie stanowią rodzaj lekcji, owego przecieku informacji z zamkniętego świata nauki. Dodatkowo towarzyszy im program spotkań, dyskusji, warsztatów, stanowiących integralną część realizacji indywidualnych projektów.

Artyści działający w oparciu o współczesną biologię stawiają sobie bowiem za cel prowokowanie społecznej refleksji i dyskusji na temat kondycji współczesnego człowieka, której podstawę niezmiennie stanowi nasza biologiczność. Stąd moje przekonanie, że bioart jest nowym wcieleniem sztuki krytycznej, czyniąc jednak z odbiorcy obiekt swoistej troski. Podejmowane przez bioart problemy są trudne, dotyczą pewnego rodzaju transgresji, jednak dzięki działaniom edukacyjnym widz nie jest pozostawiony sam sobie. Eksperymenty laboratoryjne na życiu w skali mikro (mikrobytach) są równie ważne, jak następujące po nich eksperymenty na życiu w skali makro – na ludziach jako jednostkach i społeczeństwie.

Z PRAKTYKI

Ponieważ powyższy tekst pisany jest z punktu widzenia praktyka *art-based research* (jak w wielu wypadkach, polski odpowiednik terminu wydaje się być niemrawy), pomyślałam, że na miejscu będzie przybliżenie głównego bio-projektu, który aktualnie realizuję.

Projekt *safe suicide* realizowany jest od marca 2016, głownie w Instytucie Genetyki i Biotechnologii oraz w Laboratorium Mikroskopii Konfokalnej na Wydziale Biologii UW, pod opieką naukową prof. dr hab. Pawła Golika, dr Agaty Kodroń, dr Magdaleny Kaliszewskiej, dr Bohdana Paterczyka (obrazowanie mikroskopowe) oraz życzliwemu wsparciu wielu innych biologów. Do tej pory faza wstępna realizacji została dwukrotnie zaprezentowana – w ramach wystawy „Czas nie-ludzki" w Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu oraz w ramach wystawy „Pokusa nieśmiertelności" w Centrum Nauki Kopernik w Warszawie.

Wspominałam już w tekście o bytach liminalnych. To, co mnie zainteresowało, to ich niepewny status. Na ile oddzielone od organizmu mogą być jeszcze z nim identyfikowane? Czy stają się autonomiczne? I jak oszacować wartość ich istnienia?

Historia słynnych nieśmiertelnych komórek HeLa oraz Henrietty Lacks, ich „dawczyni" (umieszczam to okre-

ślenie w cudzysłowie, gdyż bycie dawcą oznacza świadomą zgodę, o którą kobieta ta nie została poproszona), może być świetnym przykładem powyższych dylematów. Henrietta zmarła, a pobrane z jej ciała komórki przeżyły ją wielokrotnie. Dla krewnych Lacks, ale też wielu niezwiązanych z nią blisko osób, nadal pozostaje nierozstrzygnięte, czy HeLa to fragmenty Henrietty, czy tylko bezpańskie liminalne życia? Czy linii komórkowej należy się szacunek?

Projekt *safe suicide* ma charakter artystyczno–badawczy. Moim głównym celem jest zbudowanie wizualnej i symbolicznej bazy dla publicznej debaty, postawienie wymienionych powyżej pytań w nieoczywisty sposób, ale realizacja projektu oparta jest na standardowych eksperymentach laboratoryjnych. Bazuję na unieśmiertelnionych przy użyciu wirusa Epsteina–Barr komórkach, by możliwe było przeprowadzenie na nich wieloetapowych doświadczeń. Wszystkie etapy pracy laboratoryjnej są dokumentowane fotograficznie, towarzyszy im dziennik badań. Strona formalna projektu pozostaje z zamierzenia oszczędna, elementy wizualne są zaczerpnięte ze świata nauki, jedynie zmiana kontekstu czyni z nich składowe wypowiedzi artystycznej.

Moim celem nie jest zyskanie namiastki nieśmiertelności. Nie zależy mi na ucieczce przed śmiercią, a raczej na jej świadomym i zaplanowanym dopuszczeniu. Prowadzone na bazie moich własnych komórek (limfocyty B) hodowle są przeze mnie intencjonalnie niszczone na różne sposoby np. poprzez wywołanie apoptozy czy infekcje bakteryjne. Następuje swoisty paradoks przywrócenia śmiertelności. Każdą przeprowadzaną hodowlę sygnuję moim nazwiskiem, programuję i kontroluję wielość własnych molekularnych śmierci, uzewnętrzniając ukryte na co dzień pod powłokami ciała umieranie.

Mam nadzieję, że udało mi się w tym tekście pokazać, jak bardzo postnatura i postsztuka są ze sobą powiązane. Najbardziej interesującym wydaje mi się to, kiedy przedrostek „post-" zacznie dotyczyć już zupełnie innej natury i innej sztuki. Czy będziemy jeszcze tego uczestnikami, czy doświadczą tego już przyszłe pokolenia?

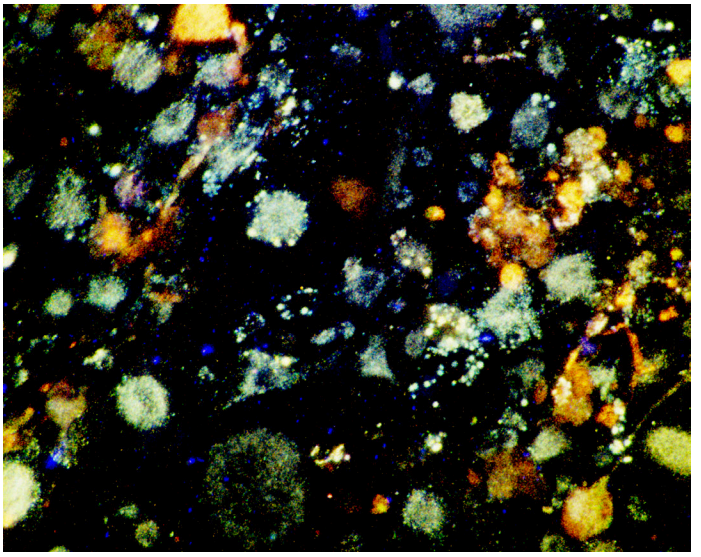

Opis zdjęć:

1. Linia własnych unieśmiertelnionych z użyciem wirusa Epsteina-Barr limfocytów B przygotowana do mrożenia, Instytut Genetyki i Biotechnologii, Wydział Biologii Uniwersytetu Warszawskiego.
2. Własne limfocyty w stresie hodowlanym, obraz spod mikroskopu konfokalnego, Laboratorium Mikroskopii Konfokalnej, Wydział Biologii Uniwersytetu Warszawskiego.
3. Wspólna hodowla własnych limfoblastów (limfocyty B unieśmiertelnione wirusem Epsteina-Barr) i komórek HeLa na pożywce DMEM (przeznaczonej dla komórek adherentnych, w tym HeLa) 24 h po podaniu 2,5 ml rotenonu - krańcowa faza rozpadu, komórki uchwycone w trakcie obumierana. zdjęcie wykonane z użyciem mikroskopu konfokalnego, Laboratorium Mikroskopii Konfokalnej, Wydział Biologii UW.
4. Wspólna hodowla własnych limfoblastów (limfocyty B unieśmiertelnione wirusem Epsteina-Barr) i komórek HeLa na pożywce DMEM (przeznaczonej dla komórek adherentnych, w tym HeLa) 24 h po podaniu 5 ml rotenonu - krańcowa faza rozpadu, zdjęcie wykonane z użyciem mikroskopu konfokalnego, Laboratorium Mikroskopii Konfokalnej, Wydział Biologii UW.

KAROLINA ŻYNIEWICZ

Artystka, absolwentka Wydziału Sztuk Wizualnych ASP im. Wł. Strzemińskiego w Łodzi, studentka I roku Środowiskowych Transdyscyplinarnych Studiów Doktoranckich „Na styku Natury i Kultury" na Wydziale Artes Liberales UW. Traktuje sztukę jako narzędzie badań, działa w oparciu o szeroko rozumiane życie, tworząc sytuacje badawcze pozwalające przetestować ludzkie podejście do biologicznej sfery życia oraz osiągnięć współczesnej biologii, biotechnologii i biomedycyny. Aktualnie realizuje projekty przede wszystkim w Instytucie Genetyki i Biotechnologii na Wydziale Biologii UW: www.karolinazyn.wix.com/livingart, www.facebook.com/karolinazyn/

ZJAZD W GŁĄB ŚLĄSKOŚĆ W RELACJI Z NATURĄ

MATEUSZ TOFILSKI | MATEUSZ GAWRON

Związek człowieka z naturą może być rozpatrywany na wielu płaszczyznach. Każda z nich dotyka innej sfery życia i wiąże się z innego rodzaju interakcją. W przypadku ludności mieszkającej na Śląsku tradycyjnie relacja do natury okazuje się być głębokim i wielopoziomowych powiązaniem, którego analiza mówi wiele tak o samym stosunku człowieka do przyrody, jak i śląskiej tożsamości.

Śląsk jako teren pogranicza to obszar zawiłej historii oraz mieszających się kultur i tradycji. Świadczy o tym chociażby wielość opracowań, tekstów naukowych i artykułów prasowych starających się uchwycić, opisać to zjawisko. W tak skomplikowanej rzeczywistości łatwiej dostrzec dynamikę lokalnej tożsamości. Bazuje ona na zmienności otaczającego świata i równowadze współistniejących opozycji. Jedną z nich jest opozycja między kulturą a naturą.

GŁĘBOKO – CZARNY, ALE OGRÓD

Region ten od zawsze kojarzony jest z przemysłem, dymem i postapokaliptycznym, industrialnym krajobrazem, który dziś już nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością wyremontowanych miast i rozległych terenów zielonych. Wyliczanie statystyk analizujących konkretne hektary i inwestycje nie wniesie jednak wiele i nie ułatwi zrozumienia głębokiej obecności natury w śląskiej tradycji. Zamiast tego, porzucając walkę z wiatrakami stereotypów, warto zwrócić uwagę na wielość poziomów, na których może się ona przejawiać.

W najprostszym sensie będzie to po prostu poszukiwanie kontaktu z przyrodą, dające się łatwo zaobserwować w panujących w tym regionie zwyczajach, chociażby w powszechności posiadania przez rodziny górnicze zwierząt hodowlanych. Świnie, kozy czy kury stanowiły normalny i oczywisty element górniczego osiedla, nie tylko ze względu na związany z tym dodatkowy dochód (choć i ten był nie do przecenienia), ale właśnie z powodu swojskości kontrastującej z obrazem pobliskiej huty czy kopalni. Tak samo można odbierać niezwykle bogatą i silną tradycję gołębiarską, podtrzymywaną przez wiele pokoleń. Jeszcze dziś niemal każdy mieszkaniec pamięta, jak jego dziadek hodował z dumą gołębie pocztowe, doglądając ich po każdej „szychcie".

Potrzeba ta była obecna również w świadomości twórców osiedli i kolonii robotniczych stawianych na Górnym Śląsku niemal taśmowo wokół zakładów przemysłowych. Mowa tu oczywiście głównie o właścicielach firm z początku XX w., a nie o państwowych realizacjach z jego drugiej połowy, których podstawowym celem było umieszczenie jak największej ilości ludzi w cudach wznoszonych z wielkiej płyty. Wchodząc w dwudzieste stulecie i idąc za ogólnoeuropejską tendencją, zaczęto tworzyć miejsca przyjazne, samowystarczalne oraz wiążące z sobą całe rodziny na wiele pokoleń. Jednym z popularnych rozwiązań było budowanie niewielkich domków z ogródkami wzorowanych na angielskim *cottage*. Świetny przykład takiej realizacji stanowi unikatowe katowickie osiedle Giszowiec, gdzie każdej rodzinie górniczej przysługiwał poza połową domu także ogródek wraz z obowiązkiem jego uprawy. Białe, na pierwszy rzut oka identyczne domy zyskiwały kolory, a mieszkańcy mieli zagwarantowany stały kontakt z przyrodą. W ten sposób można było mówić o środowisku jednoczącym lokalną społeczność i wiążącym ją z ziemią, na której mieszkała.

Z tej perspektywy widać, że dopiero zrównoważone połączenie przemysłu, kojarzonego z rozwojem i postępem, ze swojskością i dostępem do natury dawało podstawy do zbudowania stabilnej tożsamości, która w gruncie rzeczy opierała się zawsze na delikatnej i dynamicznej równowadze, paradoksalnej symbiozie przeciwieństw.

„ŚLĄSK JEST MIEJSCEM MISTYCZNYM. REGION TEN BYŁ ZAWSZE TRADYCYJNIE BARDZO RELIGIJNY, CO OBJAWIAŁO SIĘ W PONADKONFESYJNOŚCI, IGNOROWANIU DOGMATYZMU ORAZ PRZESIĄKNIĘCIU PEWNĄ DOZĄ PANTEIZMU I FOLKLORU.

GŁĘBIEJ – WALKA Z MARASEM

Uprawianie ogródków, pielęgnacja roślin i hodowanie zwierząt szły zawsze w parze z jeszcze jednym koniecznym elementem życia śląskiej rodziny, czyli czystością. Walka z marasem (brudem) zyskiwała tu nowy wymiar, pogłębiający związki Ślązaków z naturą.

Syzyfowa walka z „wszechosadzającym się" pyłem przejawiała się przede wszystkim w pucowaniu okien, nigdzie indziej niespotykanym na taką skalę szorowaniu nagrobków czy dbaniu o biel ubrań. Wystarczy przypomnieć sobie chociażby scenę z filmu Kazimierza Kutza *Perła w koronie* (1971), kiedy to ojciec sprawdza, czy jego synowie kładąc się do łóżka, mają czyste stopy. Ten z pozoru pedantyczny zwyczaj idealnie obrazuje wagę oraz wartość, jaką przypisywali górnicy czystości. Specyficzna, nabożna cześć kojarzona z pewnego rodzaju sterylnością tylko pozornie stoi w sprzeciwie wobec postulowanego związku śląskości z naturą.

Współcześni badacze starają się wyprowadzać słowo „maras" od łacińskiego słowa „mors", wskazując na jego związki ze śmiercią. Czyszczenie mieszkań, pielęgnowanie ogrodów i dbanie o nagrobki stanowiłoby wtedy rodzaj afirmacji życia, walki prowadzonej z podziemiem o powierzchnię. Jednocześnie walki, która nie jest walką z naturą, a walką naturalną. Doświadczeniem bycia częścią przyrody.

Elementem rozwoju cywilizacji, jasno widocznym znakiem ponowoczesności, jest wyparcie śmierci z powszechnej świadomości. Znika ona z naszych domów, rozmów, a w konsekwencji i myśli. Wysoko rozwinięte społeczeństwo dochodzi do momentu, w którym śmierć staje się dla niego wypaczeniem, czymś obcym i pochodzącym całkowicie spoza jego systemu. Jednak wbrew pozorom nie prowadzi to wcale do silniejszego związku z życiem, a raczej do utraty świadomości jego wartości. Jest to współczesny przejaw konfliktu kultura–natura: jednym z elementów kontaktu z naturą jest bowiem świadomość kręgu życia, *danse macabre* czy innego, zależnego od rejonu świata ujęcia tej samej intuicji. Na Śląsku to: „maras w każdo dziura wlezie".

NAJGŁĘBIEJ – ŚLĄSK NATURALNY, ŚLĄSK MISTYCZNY

Natura odbiera, ale i daje. W końcu tylko dzięki swojemu naturalnemu bogactwu Śląsk stał się tak ważnym ośrodkiem przemysłowym. Mówi się, że rolnik pielęgnujący ziemię wchodzi z nią w intymną relację. W takim wypadku trudno wyobrazić sobie silniejszy i gwałtowniejszy związek z ziemią niż wchodzenie w jej wnętrze. W ten sposób rodzi się najgłębsza płaszczyzna szacunku do natury, a więc płaszczyzna religijna.

Śląsk jest miejscem mistycznym. Region ten był zawsze tradycyjnie bardzo religijny, co objawiało się w ponadkonfesyjności, ignorowaniu dogmatyzmu oraz przesiąknięciu pewną dozą panteizmu i folkloru. Obok darzonej na Śląsku wielki kultem św. Barbary zawsze stał Skarbek, a w tle do głosu dochodziły różne bóstwa przyrody, czego świetnym przykładem jest tytułowy Drach z powieści Szczepana Twardocha.

Doświadczenie mistyczne jest zawsze bezpośrednio niewypowiadalne, nieprzekazywalne, a jednocześnie wypływające z silnego poczucia relacji, w tym przypadku m.in. z naturą. Mistyka obecna jest tu zatem w lokalnej tożsamości, która z jednej strony jest tożsamością do bólu pragmatycznych ludzi pracy, a z drugiej – poszukujących eschatologicznego odniesienia. Świetnie widać to na obrazach tzw. Grupy Janowskiej, gdzie obok Teofila Ociepki, tworzącego fantastyczne krajobrazy pełne jaskrawych barw i nieistniejących stworzeń, stoi zawsze Ewald Gawlik ze swoimi statecznymi przedstawieniami górniczych rodzin wykonujących codzienne czynności. Jedynie przez to zespolenie obraz Śląska może być kompletny.

Postmodernizm wyraźnie uwypuklił, że tak naprawdę istotą tożsamości jest dynamizm i ciągła walka o jej odzyskiwanie, stąd rola natury – jest ona koniecznym elementem stanowiącym opozycyjną parę z przemysłem. Zwłaszcza w tym regionie, potęgującym jeszcze szacunek do niej.

MATEUSZ TOFILSKI

Jest już prawie absolwentem Indywidualnych Studiów Międzyobszarowych z Katowic. Interesuje się przede wszystkim filozofią (szczególnie filozofią umysłu) i regionem, czyli Śląskiem. W czasie wolnym czyta, ogląda i spaceruje z psem.

MATEUSZ GAWRON

Od rysunku architektonicznego na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej rozpoczął swoją drogę przez przez zawiłości ilustracji i grafiki. W swoich ilustracjach stara się odnaleźć perfekcyjną kreskę oraz to, co naprawdę ładne. Jego prace znaleźć można w różnorakich gazetach, na kilku blogach oraz jak na razie w jednej książce.

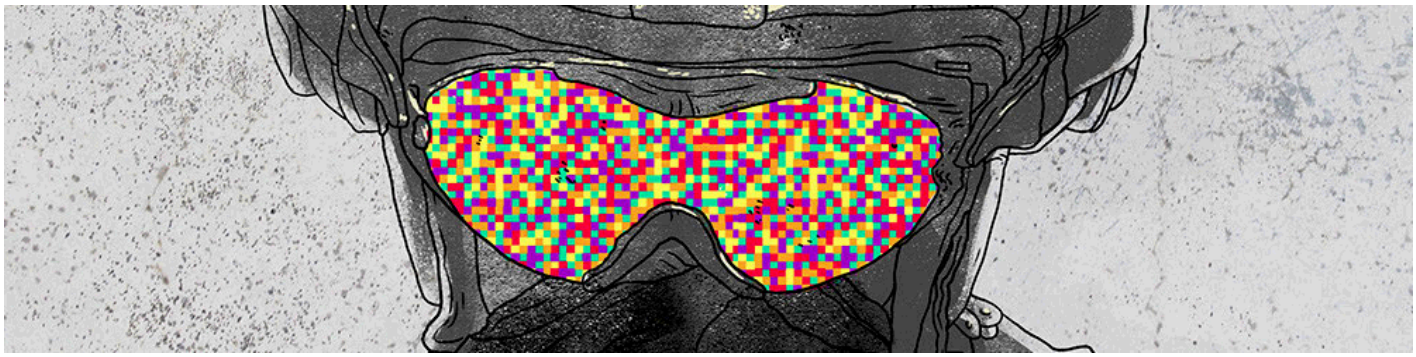

BURNING MAN – NIECH PŁONIE!

ANNA SOBCZAK | ANNA KRZTOŃ

Burning Man to festiwal sztuki, który balansuje na granicy absurdu, odrealnienia, zabawy i naturalnego piękna. Pod koniec sierpnia pustynia Black Rock w stanie Nevada przekształca się w dom dla 70 tysięcy ludzi. Zbudowany na planie koła w centralnym punkcie *playi*, wyschniętego dna jeziora, stoi drewniany Man, który w sobotę wieczorem zostanie spalony.

Na cały tydzień tworzy się wokół tej kukły tymczasowa społeczność, która funkcjonuje wedle 10 zasad. Najważniejsza z nich to szacunek dla innych i akceptacja. Fundamentem dobrego współżycia między *burnerami*, czyli uczestnikami imprezy, jest obopólna zgoda – nie robimy nic wbrew cudzej woli i wyraźnie wypowiedzianego „tak".

Burnerzy wyrażają siebie w ekstremalny sposób. Na *playi* panuje postapokaliptyczna lub steampunkowa moda. Czasami na rowerze ktoś przejedzie nago lub w stroju błyszczącego jednorożca. Oprócz strojów ważny jest wehikuł, którym się poruszamy. Zwykłe samochody są zabronione. Za to „mutanty" – mile widziane. To jeżdżące absurdalne struktury pokroju mechanicznego byka, do którego odbytu możemy sobie wejść. A wszystko przy dźwiękach muzyki ryczącej z głośników i płomieniach buchających z miotaczy ognia. Przychodzi na myśl klimat najnowszego *Mad Maxa* (2015, George Miller), do którego dodane jest trochę tęczowej fantazji i nagości.

Burning Man obfituje w niesamowitą ilość zajęć. Czy to joga o wschodzie słońca, medytacja, warsztaty rozwoju osobistego, czy lekcje rzeźbiarstwa – wszystko odbywa się w ciągu dnia, a w nocy rozpoczynają się koncerty, które trwają do świtu i dłużej.

Jednakże nierzeczywistość Burning Mana, jego tempo i skala po kilku dniach mogą być przytłaczające i dziwne.

MIGAWKI Z BURNA

Do Black Rock City mam z Szymonem 7 godzin jazdy. Z trzema rowerami na dachu i samochodem zapakowanym do granic możliwości jedziemy drogą numer 447, która prowadzi w samo epicentrum festiwalu. Już z Gerlach, ostatnim miasteczku na trasie, widzimy wzbijające się wysoko na 100 metrów białe tumany kurzu.

- To na pewno tam – mówi Szymon.

Zjeżdżamy z asfaltowej drogi na białą, alkaliczną powierzchnię pustyni.

INTRO

Podjeżdżamy do metalowych budek przypominających przejście graniczne. Wychodzą nam naprzeciw *greetersi*, czyli wolontariusze odpowiedzialni za serdeczne przywitanie uczestników. To dwóch facetów w średnim wieku. Jeden z nich ma na sobie tylko srebrzyste majtałaski, żółte gogle i różową chustkę owiniętą wokół szyi, a drugi to rycerz ciemności w czarnym stroju i arafatce otulającej całą głowę, widać jedynie oczy.

- *Welcome home* – mówi facet w żółtych goglach, jednocześnie nas obejmując. – Byliście już na Burning Manie?

- Nie, to nasz pierwszy raz – mówi Szymon. Jesteśmy burnowymi dziewicami, więc przed nami rytuał przejścia.

- W takim razie robisz aniołka na piasku.

Szymon zdejmuje koszulkę i tarza się w białym pyle.

- A ty? – facet patrzy się na mnie. Wymijająco kręcę głową. – W porządku. Jak nie chcesz, nie ma problemu.

Pierwsza zasada Burning Mana. Jeżeli nie masz na coś ochoty, nikt cię do niczego nie zmusi.

- To teraz musicie uderzyć w gong i coś powiedzieć, np. „Jestem jeszcze dziewicą" – nakazuje czarny rycerz.

Mierzę małe metalowe kółko okiem. Biorę drąg do rąk i uderzam w gong krzycząc: „Za pierwszy rok w Stanach!". Panowie obejmują nas po raz kolejny.

- *Welcome home, it's going to be great.*

Wsiadamy do samochodu, biały kurz osadza się na fotelach i desce rozdzielczej.

Na parkingu stoją samochody przyprószone warstwą pyłu. To *playa dust,* czyli pył alkaliczny, który obejmuje władzę nad każdym ciałem i rzeczą na Black Rock. Wchodzi w każdy zakamarek. *Dust* – to słowo będziemy słyszeć jeszcze wielokrotnie w trakcie najbliższego tygodnia.

DZIEŃ

W wianku i na przystrojonym lampkami rowerze jestem gotowa na eksplorację *playi*, czyli centralnej części festiwalu, gdzie stoi Man, rzeźby i sceny koncertowe.

- Poczekajcie chwilę. Mam coś dla was – mówi Tyler, nasz współlokator na czas Burning Mana. – Zamknijcie oczy i nie podglądajcie – kładzie coś przed nami. – Gotowe.

JESTEŚMY BURNOWYMI DZIEWICAMI, WIĘC PRZED NAMI RYTUAŁ PRZEJŚCIA.

Na podłodze leżą trzy maski wykonane z maleńkich lustrzanych szkiełek. Idealne na taki wypad. Są trochę przerażające, zwłaszcza gdy wszyscy na raz je ubieramy.

The playa will provide, plaża dostarczy ci wszystko – kolejne motto festiwalu oraz pierwszy przykład kultury bezinteresownego obdarowywania.

NOC

Fluorescencyjne kolory zalewają *playę*. Ludzie, rzeźby i jeżdżące „mutanty" mienią się światłem. Z oddali do uszu dochodzi dudnienie elektronicznej muzyki. Rowery to kolorowe okręgi lub chaotyczne linie, przesuwające się po czarnej plamie pustyni.

Koncert. Scenę rozjaśniają żółte, różowe i niebieskie kolory. Zakładamy lustrzane maski. Światło rozszczepia się w każdą stronę. Stajemy się absurdalną częścią *playi*. Obok nas tańczy człowiek-zebra.

- *Nice costume* – mówi nasz znajomy.

Człowiek-zebra wierzga kopytem z aprobatą. Skaczemy w rytm muzyki. Czas nie istnieje.

8:00, chłopaki dopiero wracają z koncertów do kampera, w którym mieszkamy.

- Aniu, obudź mnie o 13:00 – mówi jeden z nich.

DZIEŃ

O 11:00 wychodzimy na dalszą eksplorację *playi*. Biel bije po oczach. Zasłaniam twarz ręką i po omacku sięgam po okulary słoneczne. Z Szymonem kierujemy się do centrum, czyli do Center Camp Playa.

To cyrkowy namiot. Na jego środku zorganizowana jest arena wyłożona patchworkowymi kocami. Jest odgrodzona od reszty przestrzeni wysokimi ławkami. Opierają się o nie widzowie, którzy wkrótce przesuwają się na środek, stając się uczestnikami zabawy.

Na kocach w tanecznym wirze oddziałują na siebie pary. Ktoś tańczy jazz, ktoś ćwiczy aero jogę. W transie, nie zauważają innych ludzi. Nie możemy oderwać od nich wzroku. Energia eksploduje.

Jedyne, co słychać, to wykład faceta na temat podejmowania decyzji w życiu. Oklaski aprobaty rozlewają się po namiocie.

100 metrów od głównego namiotu stoi rzeźba wieloryba w jego naturalnej skali. Wykonana z wielobarwnych szkieł, skrzy się na tle bezbarwnej pustyni.

DZIEŃ

Jedziemy w głąb *playi*. Mijamy rzeźby plastikowych muchomorów, goryli, pytajników. Wyblakłe zlewają się z bielą pyłu. Słońce operuje, wysuszając nam usta.

Podjeżdżamy pod świątynię po drugiej stronie *playi*. Drewniana, w stylu azjatycki ma być miejscem, w którym ludzie ostatecznie radzą sobie ze swoją stratą lub problemami. Od reszty *playi* świątynię odgradza metrowy płot. Gdy tylko wchodzimy na jej teren, uderza nas cisza przerywana przez szloch i zanoszenie się zgromadzonych ludzi.

Na ścianach wiszą fotografie bliskich zmarłych. Nie palą się żadne znicze. Nie są odprawiane żadne obrządki.

Muszę wyjść. Powietrze gęste jest od smutku.

NOC

Na drodze dojazdowej do *playi* stoi mniejsza scena. Występuje na niej grupa taneczno-akrobacyjna STAR STAR. Gęsto od ludzi, widzę jedynie plecy osób przede mną. Wycofujemy się z tłumu, wchodzimy na metalowy maszt po drugiej stronie ulicy. Tuż nad ziemią tancerka wije się na szarfie.

Na *playi* pali się rzeźba. Siedzimy po turecku kilka metrów od niej. Płomienie ogrzewają policzki. Ogień hipnotyzuje. Z tyłu leci muzyka z jednego z „mutantów".

DZIEŃ

Na Esplanade, czyli bulwarze wokół *playi,* koleś w słomkowym kapeluszu wydziera się przez megafon do przechodniów:

- Fuck you man! And you! And you too!

Wkurza się jeszcze bardziej i bluzga jeszcze więcej. Przechodnie i rowerzyści udają, że nie słyszą. W końcu ktoś podchodzi do niego z butelką wody i mówi:

- Powinieneś już zejść ze słońca. Masz tutaj wody, napij się – nerwus schyla potulnie głowę i wchodzi do namiotu.

Słońce praży. Białe podłoże *playi* zlewa się gdzieś z horyzontem, na płaskiej przestrzeni wystają tylko rzeźby i pogorzeliska z wczorajszego palenia. Pot spływa nam po plecach. Dojeżdżamy do centrum uwalniania kreatywności. Z daleka słychać rytmiczny dźwięk bębnów. Wchodzimy do środka. Półnadzy ludzie ustawieni w kole podrygują, prowadząca osoba śpiewa, reszta nuci do taktu.

Słońce już zaszło, niebo przybiera kolor pudrowego różu. Stoimy pod trzema pochylonymi, drewnianymi wieżami. Wzmaga się wiatr. Odwracam się w prawo i widzę nadciągającą ścianę pyłu. Zakładam gogle i maskę. Przestaję widzieć ludzi naokoło mnie. Nie wiem, gdzie jest dół, a gdzie góra. Widzę jedynie swoją dłoń. Czuję zapach pyłu. Czekam.

NOC

3:00 rano. Moje dłonie kostnieją od lodowatego wiatru. Przy silniejszym podmuchu, pył osadza się na moich ustach. Siadamy z Szymonem na pokładzie jednego z mutantów. Chcemy odpocząć. Wyciągamy wodę i słoną przekąskę, gdy podchodzi do nas facet w stroju à la Mad Max.

- Are you guys ok? Water? Food? – pyta.
- We're good, thanks a lot.
Na *playi* nie dadzą ci zginąć.

EXODUS

Jest 6:00 rano. Godzinę wcześniej kładłam się spać po nocy pełnej surrealistycznych koncertów. Niby już dzień, a dla mnie ciągle noc.

Wsiadamy do samochodu, odpalam silnik. Zimno. Nastawiam radio na festiwalową rozgłośnię. Z głośników rozbrzmiewają niskie tony elektronicznej muzyki. Ostatnie podrygi Burning Mana.

Wyjeżdżam ze strefy dla kamperów na drogę dojazdową, wprost na otwartą przestrzeń pustyni. Od prawej w samochód uderza wiatr. Znosi mnie. Przede mną wznosi się gęsty biały kurz. Widzę jedynie czerwone światła kampera przede mną.

Po kilku minutach wiatr cichnie, pył opada. Dopiero zauważam brunatne kilkutysięczniki nad *playą*, ponad którymi kłębią się granatowe chmury. Z lewej strony słupy światła pieszczą miękki pył pustyni. Odpuszczam. Poddaję się pięknu pustyni, natura wygrała.

DEKOMPRESJA

W ciągu kilku dni byliśmy odcięci od realnego świata, a wszystko, co nas otaczało, było nie z tej ziemi. Byliśmy zmęczeni, przytłoczeni wszystkim, co się działo. Dzień i noc nie miały ani początku, ani końca, zlewały się w jedno. Trudne warunki na pustyni podkręcały nasze reakcje. To miejsce przeraża i zachwyca jednocześnie. Dlatego na festiwal należy przyjechać z otwartym sercem, bo każdy wyciąga z festiwalu tyle, ile chce. Burning Man może zmienić życie.

ANNA SOBCZAK

Autorka bloga www.coralnotes.com, w którym opisuje wyprawy po Stanach Zjednoczonych, a zwłaszcza po Kalifornii, gdzie mieszka na stałe.

ANNA KRZTOŃ

Zajmuje się komiksem i ilustracją. Absolwentka ASP Katowice. Bawi ją rysowanie niestworzonych historii, które dotychczas publikowała w antologiach, magazynach i zinach w Polsce, Szwecji, Finlandii, Belgii, Estonii, na Litwie, Słowenii i w USA. Współpracuje jako ilustratorka z Popmoderną, Kulturą Liberalną i Magazynem Kontakt. Jej komiksy można przeczytać na stronie Menażeri i PROwincji.

PSZCZOŁY NA PROPSIE!

MAGDALENA ZARĘBSKA - WĘGRZYN

„Jeśli znikną pszczoły, człowiekowi zostaną 4 lata życia" – powiedział Albert Einstein. Blisko 100 lat później w Warszawie trwa akcja „Bez bzykania nie ma życia", a w centrum stolicy pojawia się licznik, który codziennie odnotowuje śmierć kolejnych pszczół.

Mam wtedy niewiele ponad 30 lat i te, jak się okazuje, ważne owady, kojarzą mi się głównie z okrzykiem: „Uważaj, pszczoła!". Przezornie to robię. Może przecież użądlić. W pamięci mam smutny finał filmu mojego dzieciństwa *Moja dziewczyna* (1991, Howard Zieff), w którym Macaulay Culkin został zagryziony przez pszczoły. Zgroza! Nie raz widziałam też opętańczy taniec, który wykonuje niemal każda osoba, kiedy tylko w niedalekim sąsiedztwie dostrzega te owady. Cóż to jest za choreografia? Niczym w plemiennym rytuale potencjalne ofiary uchylają się, by uniknąć spotkania z mierzącym niespełna 2 cm potworem.

O co zatem chodzi? Po co nam te pszczoły? Mam niewiele ponad 30 lat i jeszcze tego nie wiem – więc szukam. Odpowiedź jest prosta, wręcz banalna, ale jako adresat polskiego systemu edukacji w systemie ZZZ, zakuć–zdać–zapomnieć, nie potrafię powiązać faktów. Ale akurat ja powinnam umieć to zrobić, bo o spożywanym przeze mnie jedzeniu co bardziej złośliwi mówią, że jest dla królika. Jem głównie rośliny, owocowe, warzywne, bulwiaste, pastewne, a one właśnie z pszczołami mają wiele wspólnego.

Bo co robią pszczoły? Zapylają, gdy na roślinach naprędce przysiadają! Zapylenie owo pozwala wydać roślinie owoc. A co jest owocem? Wiadomo – jabłko, na przykład reneta szara, czy gruszka – odmiana konferencja! Ale owocami, choć warzywami przecież, które rodzą się na skutek tego kwiatowo-pszczelego romansu, są także ziemniaki (jakby nasz naród wyżył bez ziemniaków?), papryki, pomidory i wszelkie roślinne dobra, które z lubością zjadamy.

Eureka! Einstein miał rację. Umrę bez pszczół. Więc zaczynam szukać, rozmawiać, bo, jak wiadomo, warto rozmawiać. A że mam naturę dość niecierpliwą i trochę narwaną, myślę o ulu na balkonie. Pomysł znika tak szyb-

ko, jak się pojawia. Mieszkam w bloku, a przepisy nie pozwalają mieć ula w bloku, nie może się on też znajdować w bliskim sąsiedztwie chodników, którymi piesi suną przez miasto. Taki ul to duże utrapienie w mieście, na blokowisku. Widmo pożądlonych sąsiadów, a co gorsza – ich nowo narodzonych dzieci skutecznie każe mi odłożyć posiadanie ula na czas, gdy opływając w forsę, będę kontemplować życie i jego uroki w zacisznej chacie na łonie natury.

Więc co robić? Co robić? Media huczą, że pszczoły giną, że monokultury (wielohektarowe przemysłowe uprawy rolnicze) je niszczą, bo jak ktoś ma 50 hektarów kukurydzy i niezły hajs z tego, to nie bawi się w organiczne nawożenie gnojówką, tylko wali takiej kukurydzy czy innej pszenicy między oczy pestycydami, czyli trucizną na choroby roślin i zwierząt, a zatem pszczół także, ale i nas ludzi przecież. Jestem załamana wizją mojej przyszłości. Wyobrażam sobie, jak zjadam ostatnie w swym życiu jabłko, czereśnię, kalafiora. Powinnam zacząć żegnać się z bliskimi. Ale jak już wspominałam, warto rozmawiać, a że temat pszczół pochłonął mnie całkowicie, zaczynam rozmawiać ze specjalistami, czyli zoologami, a dokładniej mówiąc: entomologami. I co się okazuje? Oprócz niebezpiecznych pszczół miodnych, tych potworów, na które kazano mi uważać, istnieją pszczoły bezpieczne. Wprawdzie miodu nie robią, ale zapylają! Cieszę się jak dziecko i zbieram dane. Pszczoły te to murarki, nazwa gatunkowa *Osmia rufa*. Zamiast robić miód, żyć w ulu i żądlić, murują. Całe swoje krótkie życie (mniej niż miesiąc) poświęcają na murowanie. Murują swoje domy w cienkich rurkach trzcinowych, w dziurach w cegłach i innych ubytkach budowlanych. W takim zamurowanym domku składają jajka. Przynoszą potem tym jajkom, czyli pszczelim dzieciom, mnóstwo jedzenia i tak zapewniają im bezpieczny byt. Pszczele dzieci wyposażone w wikt i opierunek, zimują zamurowane, a wiosną, jak poczują słońce, wychodzą zza muru i – niczym Niemcy po obaleniu „tego" muru – rzucają się w wir rozpędzonej pszczelej gospodarki. Zapylają!

Na Allegro kupuję rurki trzciny i oglądam tutoriale, żeby wiedzieć, jak zrobić moim pszczołom ciepły dom, a potem zasiedlić go kokonami. Jest późna wiosna, więc kokony trzymam w lodówce, by małe pszczoły przypadkiem się nie wykluły i nie odleciały w siną dal. Funduję im trochę ciążę przenoszoną, ale jak zobaczą swój dom na balkonie, wybaczą mi. Dom ma około 30 pokoi, to nic innego jak związane ze sobą ściśle rurki trzciny (około 30 sztuk), mierzące na oko 20 cm. Żeby były bardziej stabilne umieszczam je w obciętej butelce po mineralnej, a w szczeliny między rurkami wsypuję kokony. Trwa to dłuższą chwilę, więc pszczoły mogą już poczuć, że na zewnątrz jest ciepło. I nagle szok! Kokony zaczynają się ruszać, a za chwilę wychylają się z nich małe puchate główki moich murarek.

Moje murarki, zapewne wszystkie murarki, wyglądają inaczej niż pszczoła miodna. Są

o wiele mniejsze, na oko jakieś 1,5-centymetrowe, i nie mają żądła, ich odwłok, czyli brzuszek, jest krótszy, a one same mają raczej powolne, przyjazne usposobienie. Aby sprawdzić ich skuteczność, kupuję na targu sadzonki truskawek i pomidorów. „Zobaczymy, jak będą zapylać" – powtarzam w myślach i obserwuję. Po upływie tygodnia w rurkach pojawiają się pierwsze zbudowane przez pszczoły murki. Takie młode, a już złożyły jaja – natura nie lubi pustych przebiegów. Po dwóch miesiącach na krzaczkach truskawek widzę pierwsze, jeszcze zielone owoce. A jesienią zbieram po kilogramie pomidorów z krzaka. Zapylają! To działa! Nie umrę z głodu.

Eksperyment z pszczołami uwrażliwił moje uszy na temat tych owadów. Dziś jestem nieco starsza, wchodzę w wiek średni, jestem w połowie drogi do 40-tki i wciąż dochodzą mnie niepokojące wieści. W Chinach panuje zapaść i pszczoły sprowadzane są do nich z Europy, ale nie mogą się odnaleźć na obcej ziemi i umierają; jeśli przemysł rolniczy nie przestanie używać w skali makro sztucznych nawozów i oprysków, to w przyszłości jedynym rozwiązaniem będzie ręczne zapylanie roślin przez człowieka, ponoć gdzieś już to się dzieje. Ale przez te kilka lat zmienił się również wizerunek pszczół, które z przeszkadzających i niosących niebezpieczeństwo owadów nagle stały się karmicielkami ludzkości. Wiedzą już o tym wszyscy i wszyscy angażują się w akcje ich ratowania. Isabella Rossellini nagrywa *Green Porno* i w przebraniu pszczoły uświadamia ludzkość w temacie ekologii, na listę bestsellerów trafia książka *Historia pszczół*, której osią narracyjną jest życie w ulu, Greenpeace organizuje akcję „Adoptuj pszczołę" i grzmi na alarm, na dachach wielkich wieżowców zakładane są pasieki, a pracownicy korporacji po godzinach przywdziewają kombinezony i doglądają firmowych uli. Temat pszczół trafił pod strzechy. Są na pierwszych stronach gazet, są tematem sympozjów i międzynarodowych akcji, inspiracją dla reżyserów filmowych i autorów książek. Pszczoły są na propsie! I dobrze. Niech się wieść pszczela niesie, niech powstają w miastach ronda, centra handlowe i boiska imienia Pszczoły.

MAGDALENA ZARĘBSKA - WĘGRZYN
Z wykształcenia teatrolog, z zamiłowania „maker" rzeczy i projektów wszelakich — robi stoły, smaży dżemy, piecze chleby, buduje ekologiczne hodowle pszczół.

EKO-TERROR?

BARTŁOMIEJ K. KRZYCH | DAWID MALEK

Czy żyje nam się dobrze na świecie? Czy czujemy, że egzystujemy z nim w zgodzie i harmonii? Zgoda i harmonia? Kpiny! Nawałnice, powodzie, wichury, trzęsienia ziemi, osuwiska, wybuchy wulkanów, promieniowanie kosmiczne, upały, susze. Wymieniać dalej? A ponieważ zawsze trzeba znaleźć winnego, kozła ofiarnego, tym razem jest nim… Bóg. Absolutowi jednak – ze względu na to, kim jest – kary nie sposób wymierzyć, sankcji nie sposób nałożyć. Wina w mistyczny wręcz sposób przechodzi na Bożych wyznawców. Tym sposobem teologia łączy się w pewien sposób z ekologią…

„Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię" (Rdz 1, 1), a następnie – na swój obraz i podobieństwo – człowieka. Wszyscy znamy biblijną historię stworzenia. Przypomnijmy sobie jednak kluczowy dla nas fragment natchnionego (sic!) dzieła: „Po czym Bóg im błogosławił, mówiąc do nich: »Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną; abyście panowali nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym i nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po ziemi«. I rzekł Bóg: »Oto wam daję wszelką roślinę przynoszącą ziarno po całej ziemi i wszelkie drzewo, którego owoc ma w sobie nasienie: dla was będą one pokarmem«" (Rdz 1, 28-29). O ile dzisiaj początek i koniec przytoczonego tekstu spotkałyby się z aplauzem (rozmnażanie i wegetarianizm), o tyle fragment o czynieniu sobie ziemi poddanej spotyka się z niemałymi kontrowersjami. Jest również kartą przetargową nowego humanizmu, który na samym przedzie niesie sztandar z napisem „eko".

O tym, że głównym adwersarzem prądów ekologicznych, przynajmniej na podłożu teoretycznym i/lub promocyjnym, jest chrześcijaństwo, decyduje w głównej mierze siła jego oddziaływania, zwłaszcza na Zachodzie, oraz głoszona, przytoczona wyżej, doktryna władzy człowieka nad zwierzęciem. Bez wkraczania w skomplikowane wywody teologiczno-filozoficzne: tylko człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boże. Oznacza to, że z pozostałymi bytami dzieli uczestnictwo w istnieniu Stwórcy (każdy byt otrzymuje swe istnienie od Boga), od pozostałych bytów wyróżnia go jednak uczestnictwo w życiu (zwłaszcza nadnaturalnym) swego Stwórcy. Dlatego też tylko on może np. prowadzić życie duchowe czy zgrzeszyć. I tu drugi ważny punkt: o ile przed grzechem pierwszych rodziców natura żyła z ludźmi w doskonałej harmonii (zwierzęta nie atakowały człowieka i były mu poddane podobnie jak przyroda, nie było kataklizmów naturalnych etc.), o tyle po grzechu się zbuntowała, można powiedzieć, że również odczuła jego konsekwencje – stała się nieprzyjazna i zagrażająca

człowiekowi, który zamiast korzystać spokojnie z jej dobrodziejstw, musiał zacząć nauczyć się ją ujarzmiać. W tym miejscu wkracza współczesna idea ekologizmu, zapominając, że Kościół katolicki (reprezentant chrześcijaństwa *par excellence*) posiada ugruntowaną i rozbudowywaną wizję ekologii, począwszy od encykliki *Rerum novarum* Leona XIII z 1891 r.

Mamy do czynienia z megatrendem, który jest zjawiskiem globalnym, wręcz maksymalistycznym i oddziałuje społecznie, wdzierając się nawet do zakamarków życia codziennego. Wybrzmiewa w nim nuta zagrożenia, niepewnej przyszłości. Stąd m.in. walka z globalnym ociepleniem (masowe ograniczanie emisji CO_2 bez poszanowania gospodarek poszczególnych krajów), zdrowa i ekologiczna żywność (jedz tylko taką, jeśli chcesz prze-żyć), emancypacja zwierząt (czyt.: wegetarianizm), afery typu Rospuda (czyli dlaczego ślimaki są ważniejsze od ludzi), mody à la gluten (tj. zwykły bunt mas)… Używam sarkazmu, ponieważ rzeczywistość nie jest czarno-biała. Ludzie odpowiedzialni za nadmiarową emisję dwutlenku węgla z pewnością chcieliby ją ograniczyć, są jednak pod ciągłym ostrzałem zamówień, balansują między polityką a gospodarką, chcą też zarobić lub wyjść przynajmniej „na czysto". Ci, którzy chcieliby odżywiać się „jak dawniej" (bo kiedyś ludzie po wsiach to sami sobie wszystko uprawiali i hodowali, więc wiedzieli, co jedzą, a nie byli truci tymi wszystkimi E i ulepszanymi produktami z masowych produkcji), często nie mają na to ani czasu,

ani środków, a dochodzi do tego wpływ mediów – ludzie chętniej sięgają po to, co jest im znane z telewizji, radia, gazetek etc. Łudzą się przy tym, że nikt nie wykorzysta ich zdrowia do osiągnięcia jak największego zysku.

Myślenie ekologiczne wyrasta z zasadnej troski o przyszłość – nie tylko zastanego pokolenia, ale całej ludzkości i jej domu, Ziemi. Trzeba jednak zauważyć, że w przeważającej mierze formułuje swoje postulaty w opozycji do religii (w praktyce: chrześcijaństwa) będącej ostoją tzw. starego humanizmu. Nowy humanizm orzeka się wolnym od religijnych zabobonów, z których bodaj największy to rzekoma wyższość człowieka, wykorzystywany do niecnych kościelno-instytucjonalnych celów status pana i władcy. W zamian proponuje zrównanie człowieka ze stworzeniem (czy bardziej neutralnie: naturą), odkrycie harmonii ze światem, odnalezienie duchowej więzi z Matką Ziemią.W tym miejscu jednak pod płaszczem nowego humanizmu (czyli, upraszczając, naukowej, wyłączonej z religijnej optyki narracji o człowieku) odnajdujemy te same, krytykowane metody określane mianem „kościelnych" czy „średniowiecznych". Teoretycznie każdemu pozostawia się wolność decydowania o sobie, lecz praktycznie uprawia się presję strachu i zagrożenia, ot choćby raporty Klubu Rzymskiego, merytorycznie zasadne, ale nadmiernie rozdmuchiwane. W miejsce wierzeń religijnych umieszcza się naturę, której człowiek, jako jej element, jest winny szacunek i cześć. Koło się zamyka.

Twierdzenie, że to religia (czy nawet Bóg) jest winna kryzysowi, a ludzie, aby wreszcie się uwolnić od zgubnych zabobonów, winni jednoczyć się z naturą/przyrodą/Matką Ziemią, jest zaczynem nowej doktryny – ekoteologii. Jedynie przenosi problem w inne miejsce, tak naprawdę nie rozwiązując niczego, choć niektórym może uspokajać sumienie: w końcu walczą w słusznej sprawie, mierząc się z molochem wszechczasów – chrześcijaństwem.

Przy czym sama religia jest człowiekowi naturalna. Nie chcę wchodzić tu w dyskusję dotyczącą Objawienia i jedyności bądź nie danej religii, prawdą jednak pozostaje, że człowiek od zawsze szukał sobie substytutu własnych niemocy i ograniczeń, tworząc takie czy inne obrazy bóstwa. Wszelka próba dezawuacji tego faktu – uznawanego również przez ewolucjonistów – prowadzi do odebrania człowiekowi jednej z bardziej istotnych sfer jego życia, ponieważ wyłącznie religia jest w stanie ukierunkować człowieka eschatologicznie, a więc sprawia, że myśli on przyszłościowo – czyż nie o to chodzi ekologistom? Świetnie pisał o tym polski filozof, Leszek Kołakowski w pośmiertnie wydanym eseju *Jezus ośmieszony*: jeśli człowiek utraci perspektywę eschatologiczną (tj. wyrzeknie się swej religijnej natury i, w przypadku Zachodu, chrześcijańskiego dziedzictwa), stanie się sam dla siebie zagładą.

Z kolei zwolennikom ekologizmu zadajmy tylko jedno z możliwych pytań: czy czczenie Matki Ziemi (czy dzisiaj nie należałoby mówić o Ojcu Kosmosie?) i dążenie do życia z nią w harmonii ma oznaczać rezygnację z technologii i powrót do czasów prehistorycznych? Jest to oczywiście argument *ad absurdum* (który jednakże się pojawia!), ale pokazuje, w jaki sposób ekologia może stać się narzędziem terroru – być może jednej z najgorszych jego odmian, bo duchowej.

Poprzez apoteozę natury dokonuje się odnowienie teistycznego sposobu myślenia. Boga chrześcijańskiego zastępuje przyroda. Śmiem twierdzić, że nie rozwiązuje to żadnego problemu, a stwarza nowe, gdy tymczasem religia (chrześcijaństwo) rozwija postawy ekologiczne. W przytoczonym wcześniej fragmencie Księgi Rodzaju czytamy, że powierzając człowiekowi świat, Bóg uczynił go za niego odpowiedzialnym. Odpowiedzialność zaś jest pojęciem etycznym, co widać chociażby w pismach św. Tomasza z Akwinu, jednego z czołowych myślicieli chrześcijaństwa. O co więc chodzi? O rozwagę i umiar. O naturalność! Nie wymuszoną czy narzuconą, a naturalną. Taka jest najzdrowsza.

BARTŁOMIEJ K. KRZYCH
Student filozofii Uniwersytetu Rzeszowskiego. Członek redakcji czasopisma interdyscyplinarnego Amor Fati. Ciekawi go wszystko, co podpada pod najszerzej jak to tylko możliwe rozumiane pojęcie bytu. Zainteresowania szczególne: tomizm, metafizyka, historia i ceremonie kultu chrześcijańskiego.

DAWID MALEK
Studiuje projektowanie graficzne na ASP w Katowicach. Zajmuje się głównie ilustracją prasową i książkową.

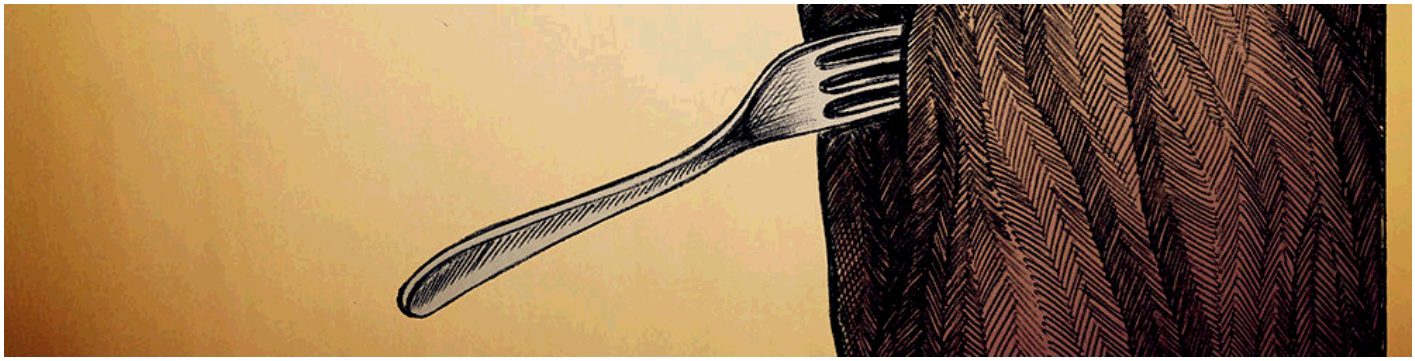

EKOLOGIA NA TALERZU

ASJA MICHNICKA | KAROLINA DANEK

Ciężko w dzisiejszych czasach nie myśleć o ekologii. Globalnych zmianach klimatycznych, degradacji zasobów wody pitnej, zanieczyszczeniu czy wylesianiu powierzchni Ziemi. Kwestia ochrony środowiska jest istotna, ponieważ dotyczy nas wszystkich. Czy jest coś, co możemy zrobić, aby zminimalizować zużycie zasobów naturalnych? Czy istnieje sposób na przeciwdziałanie katastrofom ekologicznym? W końcu – czy osobiste wybory mogą mieć znaczenie dla otoczenia?

Jedne z kluczowych i najczęściej wymienianych postulatów proekologicznego stylu życia to zmniejszenie ilości zużywanej energii i wody. Gasimy światło, wychodząc z pokoju. Zakręcamy wodę podczas mycia zębów. Wymieniamy żarówki na punktowe, LED lub energooszczędne. Używamy zmywarek i pralek tylko wtedy, gdy są napełnione. Coraz więcej osób dba o środowisko, zaczynając od własnych łazienek, samochodów czy miejsc pracy. Niewielu z nas jednak zdaje sobie sprawę, że to, co znacząco obciąża ilość zasobów, znajduje się często na naszych talerzach.

Jedzenie mięsa i nabiału jest na tyle powszechne, że często zapominamy (lub nie chcemy pamiętać) o tym, skąd się wzięło, z czym się wiąże, ale również o tym, jak może wpływać na nas i na nasze otoczenie. Kupując w sklepie wędlinę lub mleko, dostajemy gotowy produkt, więc nie zastanawiamy się, co działo się na początku produkcji. Nawet jeśli zdajemy sobie sprawę z tego, z jakim cierpieniem i okrucieństwem wobec zwierząt związana jest hodowla przemysłowa, fakty związane z jej wpływem na środowisko są mniej znane. A naprawdę to, że dziś na kolację zamiast szynki na kanapce wybiorę roślinny odpowiednik, ma znaczenie.

Hodowla przemysłowa zwierząt stanowi jedno z największych zagrożeń ekologicznych dla świata. Mimo że przyczyny zanieczyszczenia środowiska kojarzą się najczęściej z dymem wydobywającym się z kominów fabryk czy spalinami na ulicach dużych miast, okazuje się, że hodowle są w równym stopniu odpowiedzialne za obecny stan naszej planety. Zwierzęta hodowlane potrzebują wody i pokarmu, a także leków. Są często transportowane na bardzo długich dystansach, a po przebyciu tej drogi trzymane są w wielkich halach. Mięso, które się z nich pozyskuje, wymaga odpowiedniego przechowywania, ochrony przed zepsuciem oraz przewozu. To wszystko wiąże się z ogromnymi nakładami zasobów i energii – ich

skala znacznie przewyższa większość tych rzeczy, które uważamy za nieprzyjazne środowisku. Związany z długim łańcuchem hodowli przemysłowej udział w emisji gazów cieplarnianych znajduje się na poziomie porównywalnym ze źródłem pochodzącym z transportu. Hodowla zwierząt przyczynia się też do degradacji gleb, zanieczyszczenia powietrza i wody czy wylesiania olbrzymich powierzchni.

Ślad wodny nie obejmuje jedynie wody, którą zwierzę hodowane przemysłowo wypija w ciągu swojego życia. Używa się jej również do usuwania odchodów czy chłodzenia pomieszczeń. Wytworzenie produktów odzwierzęcych pochłania ogromne ilości zasobów wodnych – o wiele więcej niż uprawa roślin przeznaczonych do spożycia dla ludzi. Szacuje się, że na wyprodukowanie jednego kilograma wołowiny przypada od 10 do nawet 75 tysięcy litrów wody, w zależności od rodzaju hodowli i badań (oraz tego, co uwzględniają obliczenia). Porównując nawet tę bardziej „optymistyczną" wersję z szacunkami dotyczącymi produktów roślinnych, które wahają się na poziomie około 1000 litrów, wybór diety uwzględniającej spożycie mięsa znacznie przyczynia się do degradacji zasobów wody na świecie. Możemy oszczędzić więcej wody, rezygnując ze zjedzenia kilku kotletów niż z mycia się pod prysznicem przez kilka miesięcy.

Czy jednak jakakolwiek próba walki z hodowlą przemysłową ma sens w dzisiejszych czasach? Czy zmniejszenie popytu na mięso i produkty odzwierzęce spowoduje zmiany związane ze środowiskiem? Oczywiście całkowita rezygnacja ze spożywania mięsa nie spowodowałaby od razu zmniejszenia emisji gazów cieplarnianych czy nie sprawiłaby, że powietrze natychmiast stałoby się przejrzyste i czyste, a wody zaczęłoby znacznie przybywać. Jednak sama redukcja emisji gazów i wpływ zmniejszenia skali hodowli mogłyby mieć duże znaczenie w poprawie jakości życia na Ziemi.

Biorąc pod uwagę to wszystko, zmiana diety na roślinną staje się najbardziej proekologiczną postawą dzisiejszych czasów. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu jedzenie mięsa nie było tak powszechne jak dziś. Nasze babcie i nasi dziadkowie nie jedli go w takich ilościach, jakie są obecnie „normą". Warzywa i owoce sezonowe, strączki, kasze, zboża, orzechy – to wszystko jest solidną podstawą zdrowej diety na każdym etapie naszego życia, jak głosi oficjalne stanowisko m.in. Amerykańskiego Stowarzyszenia Dietetycznego. Rezygnacja z produktów pochodzenia zwierzęcego pozwala utrzymać niski poziom cholesterolu we krwi i odpowiednie ciśnienie, a także zahamować wiele chorób cywilizacyjnych, takich jak miażdżyca, niektóre nowotwory, alergie, choroby serca, otyłość. Zmiana nawyków żywieniowych może nam wyjść tylko na dobre. Nam i środowisku.

Tak naprawdę każdy posiłek, przy przygotowywaniu którego decydujemy się na niewykorzystywanie zwierząt, ma znaczenie. Z jednej strony zmniejszamy popyt na produkty mięsne i nabiał, po prostu nie wybierając ich podczas zakupów. Z drugiej strony zaś poprzez nasze wybory czy styl życia pokazujemy, że dieta roślinna może być pyszna, kolorowa i sycąca oraz że wcale nie musimy rezygnować z dobrze nam znanych smaków, do których często jesteśmy bardzo przywiązani. Rynek produktów w pełni opartych na roślinnych rozwiązaniach przeżywa obecnie rozkwit – na sklepowych półkach znajdziemy odpowiedniki mięsnych, serowych czy jajecznych smaków. Przepisy na dania bez użycia produktów odzwierzęcych są jednymi z popularniejszych w polskiej blogosferze kulinarnej. Roślinne lokale w dużych miastach, a coraz częściej także w mniejszych miasteczkach zyskują na popularności, nie tylko w środowisku wegetarian/wegetarianek i wegan/weganek. Jeszcze kilka lat temu w przytłaczającej większości restauracji dania z pełnym warzywnym składem ograniczały się do frytek (o ile nie były smażone na tłuszczu zwierzęcym) lub sałatki (po wyjęciu z niej

sera czy kurczaka). Obecnie ciężko znaleźć miejsce, które nie oferuje w jadłospisie kilku opcji dla osób chcących zjeść posiłek bez mięsa, produktów mlecznych czy jajek. Robiąc zakupy, często nie mamy już problemu z wyborem napojów migdałowych, kokosowych czy ryżowych lub z roślinnymi odpowiednikami wędlin. Te wszystkie zmiany i wiele innych możliwe były dzięki codziennym „małym" decyzjom milionów ludzi na całym świecie – tych wybierających podobne produkty i wstrzymujących się od zakupu mięsa i nabiału. Wielu z nich myślało, że ich kolejne pytanie skierowane do kelnera/kelnerki czy sprzedawcy/sprzedawczyni o dostępność mleka sojowego nic nie zmieni. Jak widać, mylili się.

Ciężko jest rozmawiać o wykorzystywaniu zwierząt w oderwaniu od etycznych przesłanek. Pamiętajmy o tym, że przemysłowa hodowla zwierząt oznacza cierpienie, okrucieństwo, nieludzkie traktowanie i śmierć. Poza tym jest ogromnym obciążeniem naszych zasobów i energii. Ograniczenie lub zrezygnowanie z używania produktów, które wiążą się z eksploatacją zwierząt, ma duże znaczenie w walce o skuteczną ochronę środowiska. Zawartość naszego koszyka w supermarkecie to nasz wybór, mający wpływ na ludzi, którymi się otaczamy, i na świat, w którym żyjemy. A to, co nie pozwala nam przyczynić się do znaczącej poprawy kondycji naszej planety, to często kwestia przyzwyczajenia i tradycji. Nie musimy więc od razu podejmować radykalnych kroków.

Spróbujmy wprowadzić w swoich domach dni, w których odżywiamy się roślinnie i poznajemy bogactwo smakowe warzyw i owoców. Wybierajmy jajka oznaczone na skorupce cyfrą "0" zamiast "3". Kupujmy lokalnie, od dostawców z naszego najbliższego regionu. Nie umniejszajmy znaczenia naszych działań proekologicznych. Zmiana nawyków żywieniowych na globalną skalę potrwa dłużej, ale już dziś możemy sprawić, aby nasze codzienne wybory były jak najbardziej przyjazne dla środowiska.

ASJA MICHNICKA
Wolontariuszka Stowarzyszenia Otwarte Klatki. Aktywnie działa na rzecz ochrony praw zwierząt.

KAROLINA DANEK
Karolina Danek urodziła się w 1991 roku w Krakowie. Absolwentka szkoły muzycznej I i II stopnia, a także studentka Akademii Muzycznej w klasie klawesynu. Obecnie studiuje na Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie, na wydziale malarstwa, kierunek scenografia. Karolina Danek jest autorką projektu ‚Opowiem ci bajkę, jak Kot palił fajkę'. Za pomocą czarno-białych grafik opowiada codzienne zdarzenia dotyczące każdego z nas. Bohaterem ilustracji najczęściej jest Kot, jednak w toku toczącej się opowieści zdarza się, że narrację przejmie ktoś inny.

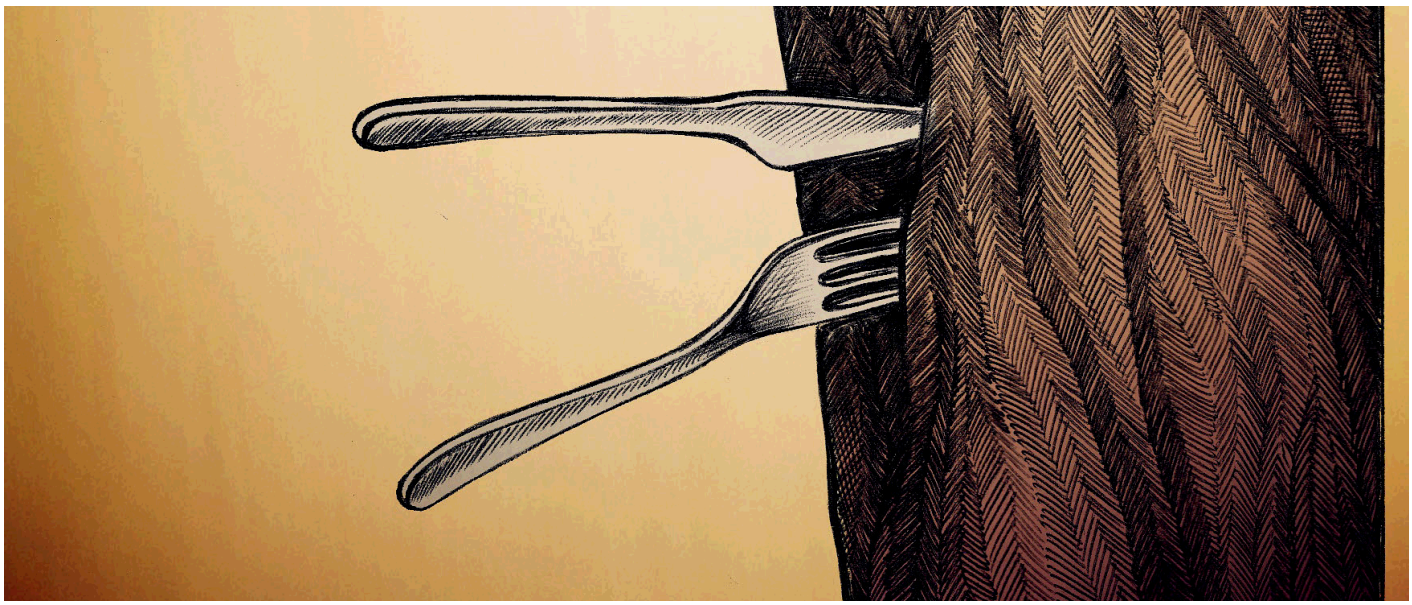

RZECZYWISTOŚĆ W OGNIU

BARBARA RUSINEK | ANNA ŁAZOWSKA

„Królowa polskiego kryminału" – taki tytuł zasłużenie przylgnął już do Katarzyny Bondy, autorki serii o profilerce zmagającej się z kolejnymi śledztwami i własnymi demonami. Na tydzień przed premierą trzeciej części historii o Saszy Załuskiej i jej czterech żywiołach Barbara Rusinek rozmawiała z pisarką, dzięki której Polacy nie chcą czytać już tylko o skandynawskich zbrodniach.

Im bliżej premiery *Lampionów*, tym więcej dzieje się na Pani oficjalnym profilu na Facebooku. Sama go Pani prowadzi?

Oczywiście! Wszystko robię sama.

Dobrze, że wydawnictwo trochę pomaga i nie musi Pani zajmować się organizowaniem wywiadów czy koncepcją marketingową.

Jasne, nie sprzedaję swoich książek samodzielnie, ale na listy i komentarze czytelników odpowiadam osobiście. To taka wisienka na torcie. Pisząc, siedzę w swojej norze przez rok czy dwa, więc jak już idę do ludzi i mogę na żywo zobaczyć mojego czytelnika, słuchać tych wszystkich miłych, a czasem też niemiłych rzeczy, to jest to dla mnie informacja zwrotna, której bardzo potrzebuję, żeby się rozwijać.

Te mniej przychylne komentarze to konstruktywna krytyka czy coś bliżej hejtu?

Skala jest szeroka. Niektórzy mnie nie lubią tylko dlatego, że jestem popularna. Denerwuje ich, że wyskakuję z każdej gazety. Podczas pracy nad książką: dokumentacji i samego pisania, nie spotykam się ani z czytelnikami, ani z mediami. Potem jednak przychodzi moment taki jak teraz. Lampiony trafiają do księgarni więc gwarantuję, że będę wyskakiwać z każdego telewizora i każdej gazety. Uważam, że to potrzebne. Niektórzy czują się rozdrażnieni, bo ileż można słuchać, że jest jakaś Bonda i napisała kolejną książkę. Będą narzekać, no ale cóż, „zazdrość cieniem sławy jest".

Jeśli chodzi o merytoryczną krytykę, to jest ona jak najbardziej pożądana. Przed każdą książką robię gruntowny *research*, kiedy już jest napisana, analizuje ją i sprawdza cały sztab ludzi. Samych korektorek jest pięć. Dział promocji też musi zapoznać się z książką, aby przygotować właściwą kampanię. Poza pracownikami Muzy moją książkę sprawdzają konsultanci, którzy tłumaczą mi wiele rzeczy na etapie przygotowań. Mimo to czasem czytelnik wyłapie coś, na co nikt z tej całej grupy ludzi nie zwrócił uwagi. To często są drobne, a nawet zabawne rzeczy. Sasza jest suchą alkoholiczką, przez co w „Żywiołach" pojawiają się elementy składające się na funkcjonowanie

człowieka, który wyszedł z nałogu. Dostałam kiedyś wiadomość od czytelnika, który nawet podejrzewał, że sama jestem suchą alkoholiczką, bo tak prawdziwie opisałam odczucia i zachowania bohaterki. Zdemaskował mnie drobiazg, o którym ten pan mi napisał. Małpki orzechówki mają pojemność 0,2 a nie 0,25. Szczegół w morzu danych, które zbieram do książek, ale dla czytelnika był istotny, bo wpłynął na postrzeganie mnie samej. Korekta przed dodrukiem i dzięki uwagom czytelników moje książki są jeszcze lepsze!

Spodziewałam się, że szczególnie po *Okularniku* krytyka mogła być ostrzejsza. W drugim tomie odsłoniła Pani okrutne oblicze historii Hajnówki, eksponując wątek żołnierzy wyklętych i to, co niesie ze sobą nacjonalizm.

Zaskoczę Panią! Piszą do mnie ludzie mocno prawicowi, również narodowcy, tacy, dla których żołnierze wyklęci są autentycznymi bohaterami, a nie tylko awatarami na podkoszulkach. Maile od nich bywają przemiłe, ponieważ często zaczynają się od słów: „Odradzano mi czytanie Pani książki i właśnie dlatego ją przeczytałem". Co więcej, ci czytelnicy doceniają, że przedstawiłam „Burego" jako prawdziwego człowieka. Odmitologizowałam pomnik ze spiżu, a oni tego właśnie potrzebowali. To jest siła literatury. Powieść może z wielu różnych stron przedstawić jedno konkretne zdarzenie i dać w ten sposób szansę na wyrobienie sobie własnej opinii.

Historia to jedno, ale pisała Pani również o współczesnych nacjonalistach. W tej kwestii też nie było głosów oburzenia?

Jestem teraz w trasie promocyjnej *Lampionów* i ani Białystok, ani Hajnówka nie zaprosiły mnie na spotkanie autorskie, mimo iż pochodzę z tamtych okolic. Dla mnie to jest czytelny komunikat.

***Lampiony* to już historia całkowicie współczesna.**

Tak, nie chciałam łatki pisarki, która znajduje jakąś plamę na kartach historii Polski i przekuwa ją w kryminał. Dlatego świadomie postanowiłam, że *Lampiony* będą zupełnie inne. To awanturnicza opowieść, której czytelnicy na pewno nie powinni brać w całości na serio. Starałam się, aby było w niej trochę zabawy. Miejscem akcji jest Łódź, którą podpalam, więc trzeba zdać sobie sprawę, że w tej książce wiele rzeczy jest umownych. Jednocześnie, jako łodzianka pewnie Pani wie, że to miasto w rzeczywistości faktycznie płonie. Częste pożary tamtejszych kamienic przekonały mnie, że w tym miejscu ogień się sprawdzi.

Jak dobrze znała Pani wcześniej Łódź?

Studiowałam tam scenopisarstwo, więc znałam Łódź jako świetne miejsce do działań artystycznych. Czas spędzony w filmówce otworzył mi głowę. To nie są typowe studia, skoro Filip Bajon zamiast w sali wykładowej witał nas o 9 rano w knajpie, odpalał whisky i rozmawiał z nami o dramaturgii, strukturze, postaciach. Poza studiami dawno temu miałam w Łodzi chłopaka. Poznałam klimat wpadania na kolejnych znajomych podczas spaceru po Piotrkowskiej i spontanicznego lądowania w knajpie. Łódź jest chyba największą imprezownią na tle innych polskich miast. Te wszystkie wspomnienia składają się na sympatyczny obraz, nie stereotypowo ponury i szary, tym bardziej że Łódź wbrew powszechnej opinii nie jest szara, tylko ceglastoczerwona. Zresztą to przykład miasta, w które się wpada i wsiąka. Wydawca wręcz wymusił na mnie skrócenie wyjazdu dokumentacyjnego, bo gdyby nie to, prawdopodobnie mogłabym penetrować Łódź jeszcze bardzo długo. Tak szkatułkowych, wsobnych miast nie ma. Czuje się w nim rodzaj charakterystycznego nerwu. Dlatego buntowałam się, słysząc narzekania, że osadzam akcję powieści w tak brzydkim miejscu.

Za Łodzią, która od kilku lat przechodzi naprawdę wielką przemianą, cały czas ciągnie się zła sława. Dzieci w beczkach, pawulon i łowcy skór…

Pozwalam sobie w *Lampionach* na żarciki na ten temat. Nie mogłabym tego pominąć. Faktem jest, że w Łodzi dochodzi do makabrycznych, spektakularnych medialnie zdarzeń. W książce pokazuję, że nie jest to przypadkowe, ale każde miasto ma takie swoje historie. Łódź ma ten problem, że komunałki znajdują się w samym centrum,

przez co ludzie w nich mieszkający są bardzo widoczni. Elita mieszka w blokasach, na obrzeżach miasta. Ten odwrócony schemat rzutuje na ocenę miasta. Ale nigdzie nie widziałam tak uroczych meneli jak tam. Jeden mówił do mnie po francusku, co wykorzystałam w *Lampionach*.

Łódź w mojej książce jest prawdziwa, nie podkolorowuję jej. Pokazuję jej różnorodność: Bałuty, Piotrkowską, lofty u Scheiblera, wspaniale eksponujące pofabryczny klimat miasta, czy kontrowersyjną Stajnię Jednorożców. Przeprowadzam moich bohaterów i czytelników przez wszystkie te miejsca, ale nie tworzę laurki ani folderku dla turystów. Mieszkańcy, którzy pomagali mi poznać ich miasto, po przeczytaniu książki wysłali mi wiele ciepłych słów. Łodzi brakowało takiego literackiego odbicia chyba od czasów *Ziemi obiecanej*.

Wspomniała Pani o awanturniczym charakterze *Lampionów* – to określenie pasuje również do miejsca akcji. Czy wykorzystała Pani w swojej książce jakieś legendy miejskie?

SKŁAMAŁABYM, MÓWIĄC, ŻE WCALE NIE CHCĘ, ŻEBY MOJE KSIĄŻKI BYŁY W KAŻDYM DOMU, A POPULARNOŚĆ MNIE ŻENUJE. UPRAWIAM LITERATURĘ POPULARNĄ, KTÓRA WINNA BYĆ POPULARNA. GDYBYM CHCIAŁA OPOWIADAĆ HISTORIE DLA KILKU OSÓB, TO POSADZIŁABYM ICH PRZY STOLE, A NIE MĘCZYŁA SIĘ W DRESIE W MOJEJ NORZE PRZEZ 2 LATA.

Mogę tylko zapewnić, że *Lampiony* nie są opowieścią o dzieciach z beczki czy pawulonie. Mimo to zawsze zakotwiczam historię w takich zdarzeniach, które potencjalnie mogłyby się wydarzyć w danym miejscu. Chcę żeby książka miała realistyczny fundament. Przed przystąpieniem do pracy spędzam kilka dni w archiwum, sprawdzam, co w danym mieście zdarzyło się w przeciągu ostatnich 5-10 lat. Czytelnik musi mieć szansę na zmysłowe odczucie przestrzeni powieści, którą mu serwuję. To, że akurat w takim miejscu dochodzi do zbrodni, ma swoje podłoże praktyczne, muszę je poznać. Nie przekładam rzeczywistości jeden do jednego, bo piszę jednak powieść, a nie książkę dokumentalną, ale zabawiłam się kilkoma elementami, które dla łodzian pewnie będą czytelne.

***Research*, który Pani robi przed stworzeniem książki, jest imponujący. Często opowiada Pani, jak dużo czasu i energii on pochłania. Nie miała Pani nigdy ochoty z niego zrezygnować i dać się ponieść fantazji?**

Zawsze ją mam. Nienawidzę tego. Wie Pani, jakie to jest męczące?

Sprawia Pani wrażenie, jakby to była superfrajda.

Jak już znajdę te wszystkie elementy, to jest frajda. Ale zanim do tego dojdzie, trzeba się naszukać, nałazić. Niestety taki już sobie wyrobiłam *modus operandi*. Już przy pierwszej książce wypracowałam pewne określone mechanizmy i nie mogę się od nich uwolnić. I to do takiego stopnia, że kiedy piszę, muszę palić, muszę pisać nocą i muszę pisać w kółko. Muszę przejść tą wybraną ulicą o każdej porze dnia i nocy, bo inaczej nie mogę o niej napisać. Notuję, nagrywam, robię zdjęcia – nasycam się przestrzenią. Zbieram pewną masę krytyczną, a kiedy siadam do pisania, nie przeglądam nawet notatek, bo to, co najważniejsze, zostaje mi gdzieś w brzuchu. Ciarki na plecach, radość, najistotniejsze elementy i odczucia wracają w odpowiednich momentach. Tak to działa.

Raz chciałam uniknąć dokumentacji. Przed *Florystką* stwierdziłam, że przecież jestem z Białegostoku, tam się urodziłam, więc wiem, jak to miasto wygląda. Efekt był taki, że w trakcie zapisu, na ostatnim etapie pracy, musiałam przerwać i jednak zacząć dokumentację. Wszystko przewaliłam jeszcze raz, to co zdążyłam napisać, wylądowało w koszu, spóźniłam tę książkę dwa lata. Zamiast sobie ulżyć, pogorszyłam sprawę.

A oderwanie się od realiów zupełnie nie wchodzi w grę?

To wynika z ram gatunku. Powieść kryminalna jest powieścią realistyczną i psychologiczną.

Nie można osadzić akcji kryminału w alternatywnym świecie, wtedy to już jest zabawa gatunkiem, zupełnie inny typ narracji. Chociaż i tak bardzo mocno odchodzę od ram gatunkowych, są pewne rzeczy, których muszę się trzymać. Nie mogę bawić się językiem, nie mogę tworzyć jakichś skomplikowanych konstrukcji, chociaż bym chciała. Wtedy mogłabym być nominowana do Nike (śmiech).

Zepchnięcie J.K. Rowling z pierwszego miejsca na liście bestsellerów Empiku to też niezłe wyróżnienie.

To jest bardzo miłe. Wszystko dzięki moim wiernym czytelnikom. Jeżdżę do Zagórowa, Konina, Koszalina, Lwówka Śląskiego i generalnie staram się być wszędzie właśnie dla tych, dzięki którym *Lampiony* są na szczycie tej listy. A przecież książki jeszcze nie ma w księgarniach, ja jej nawet nie mam, a już jest na tak wysokim miejscu, bo ludzie na nią czekają i rozchwytują w przedsprzedaży.

Skłamałabym, mówiąc, że wcale nie chcę, żeby moje książki były w każdym domu, a popularność mnie żenuje. Uprawiam literaturę popularną, która winna być popularna. Gdybym chciała opowiadać historie dla kilku osób, to posadziłabym ich przy stole, a nie męczyła się w dresie w mojej norze przez 2 lata.

Trudno wyobrazić sobie Panią w dresie.

Ale ja spędzam tak życie. Nie można pisać będąc wypindrzonym. Nurzanie się w fikcji jest czymś bardzo intymnym. Odklejenie się od rzeczywistości jest niezwykle przyjemne, dlatego ludzie piszą książki.

Chciałabym porozmawiać z Panią również o filmie.

Świeża rana.
Dlaczego?

To jest tak, że oddałam całą wolność filmowcom… bo mówimy o adaptacji, tak?

Tak, prace nad adaptacją *Pochłaniacza* zostały już rozpoczęte. Ciekawi mnie, czy nie kusił Pani udział we współtworzeniu scenariusza. Z wykształcenia jest Pani scenarzystką i ma Pani na koncie scenariusz do

KATARZYNA BONDA

BYŁA DZIENNIKARKĄ, BYWAŁA SCENARZYSTKĄ. NA SZCZĘŚCIE WYBRAŁA DROGĘ PISARKI I OD 2007 ROKU W POLSKICH (I NIE TYLKO!) KSIĘGARNIACH REGULARNIE SERWUJE KRYMINALNE BESTSELLERY. NA GŁÓWNEGO BOHATERA SWOICH KSIĄŻEK WYBRAŁA NIESPOTYKANEGO DOTĄD W POLSKIEJ PROZIE PROFILERA, ROZPRACOWUJĄCEGO ZBRODNIARZY PRZY POMOCY INTELEKTU, INTUICJI I ZDOLNOŚCI WIDZENIA TEGO, CO UMYKA KLASYCZNYM DETEKTYWOM. W PIERWSZYCH CZĘŚCIACH [SPRAWA NINY FRANK, 2007; TYLKO MARTWI NIE KŁAMIĄ, 2010; FLORYSTKA, 2012] BYŁ NIM HUBERT MEYER, W NAJNOWSZEJ SERII [POCHŁANIACZ, 2014; OKULARNIK, 2015; LAMPIONY, 2016] – SASZA ZAŁUSKA. TAJNĄ BRONIĄ KATARZYNY BONDY JEST GRUNTOWNA DOKUMENTACJA I PRZYWIĄZANIE DO RZECZYWISTOŚCI. TYM, ZA CO UWIELBIAJĄ JĄ CZYTELNICY – ZDOLNOŚĆ SPLATANIA PSYCHOLOGICZNEGO ŚLEDZTWA Z PORTRETEM NAJMNIEJ SPODZIEWANYCH ZAKAMARKÓW POLSKICH WSI I MIAST, W KTÓRYCH TLE NIEŚPIESZNIE ODKRYWA HISTORIĘ GŁÓWNYCH BOHATERÓW: KOBIETY Z PRZESZŁOŚCIĄ I MĘŻCZYZNY PO PRZEJŚCIACH.

dokumentu *Punktu wyjścia* (2014, Michał Szcześniak).

Napisałam ich o wiele więcej, ale jak na razie tylko ten jeden został zrealizowany. I taki właśnie jest los scenarzysty. Dzięki Bogu nie związałam się z tym zawodem. Jeśli chodzi o adaptację, producenci chcieli, żebym ja to pisała, ale uważam, że to nie jest dobra sytuacja, kiedy autor, który już raz napisał książkę, znów ją przepisuje na potrzeby filmu. Przy adaptacji jest potrzebne świeże spojrzenie. Ktoś z zewnątrz rozbierze książkę na czynniki pierwsze i dokona wyboru, możliwe, że nawet położy nacisk na zupełnie inne elementy. Powstaje zupełnie nowe dzieło, więc dla mnie oczywiste było, że nie mogę w nie wejść.

Czytała Pani scenariusz?

Nie, dostanę dopiero ostateczny draft. Nie chcę ingerować w ten proces. Po prostu czekam na premierę. Czytelnicy często zastanawiają się, jak to będzie wyglądać, kto zagra główną rolę. Ja nie mam ciśnienia. Każda adaptacja niesie za sobą ryzyko, że ktoś będzie niezadowolony.

A co jest tą raną, skoro nie czytała Pani jeszcze scenariusza?

Fakt, że na razie produkcja stoi pod znakiem zapytania. Scenariusz już powstał, ale PISF nie dał póki co kasy na realizację. Zresztą prawa do serii o Meyerze sprzedałam już dwa razy. Polskie morderczynie trzy razy. Zbrodnię niedoskonałą sprzedałam na serial, dokument i też na fabułę. Moje książki są atrakcyjne dla filmowców, bo to bestsellery. Z marszu mogą liczyć na zainteresowanie. Były różne pomysły, za każdym razem brałam za to pieniądze i za każdym razem mówiono, że już jest blisko, a efektów nie widać. Za tym, że film czy serial nie powstaje, często stoją różne obiektywne czynniki, zmieniają się okoliczności, brakuje pieniędzy. Z książką jest o wiele łatwiej: piszę, wysyłam do wydawcy i już jest efekt. Póki go nie widać, wolę podchodzić do sprawy pesymistycznie. W ogóle jestem taką optymistyczną pesymistką.

Fani książki na pewno pobiegliby do kin, chociaż zazwyczaj, niezależnie od jakości filmu, bardziej się docenia literacki pierwowzór.

Poza *Grą o tron*! Wydaje mi się, że moje książki mogłyby być adaptowane na podobnej zasadzie. Są grube, mają wiele wątków i postaci, więc przy filmie cięcia byłyby nieuniknione. A tak, jeden tom – jeden sezon. Tak to powinno wyglądać, ale co ja tam będę wchodzić producentom w paradę. Ale poza objętością pewną trudność stanowi już sama główna bohaterka – profilerka. Jej praca jest trudniejsza do pokazania niż detektywa.

Ale alkoholizm, burzliwa przeszłość czy gwałtowne relacje damsko-męskie są już filmowo efektowne. Zapowiadała Pani, że w *Lampionach* Sasza będzie głównie uciekać od przeszłości w pracę. Jej historia zdominuje za to czwartą część.

Chociaż zasadniczo cała tetralogia jest o Saszy, kobiecie która weszła na konkretną ścieżkę wojowniczki, z rozmysłem podrzuciłam czytelnikom w pierwszych trzech tomach jedynie pewne skrawki informacji o jej przeszłości. Kiedy planowałam opowieść o Saszy, wiedziałam, że to muszą być 4 tomy i 4 żywioły. Nie mogłabym zamknąć jej historii w jednej książce, bo proces powracania z traumy musi trwać. Ogień jest żywiołem, który daje jej siłę, niezbędną, żeby w czwartej części, *Czerwonym pająku*, zmierzyć się ze swoim własnym złem.

Nawiązuje Pani do legendarnego mordercy wymyślonego w czasach PRL-u, Lucjana Staniaka.

To jest żart, teraz już mogę to powiedzieć. Co ciekawe, to jedyny polski zabójca wpisany przez FBI na listę najgroźniejszych przestępców, chociaż nigdy nie istniał, został stworzony przez komunistyczną propagandę, typowa *urban legend*. Kiedy trafiłam na jego historię, było dla mnie arcyciekawe wykorzystanie jej dramaturgicznie. Zapewniam Panią, że nie jest tak, jak Pani się wydaje.

Legenda Czerwonego pająka rozwija się i komplikuje coraz bardziej. Marcin Koszałka zmiksował ten kryptonim z historią Karola Kota.

Koszałka też się nią zabawił, przedstawił inaczej, niż faktycznie mogło być. To zupełnie nowa opowieść, bardzo w stylu reżysera. Scena zabójstwa jest potworna. Trzeba być gotowym, żeby ją zobaczyć i zanurzać się w przedstawionym świecie.

To prawda – odbiorca jest w o wiele bardziej komfortowej sytuacji, jeśli śledzi historię z perspektywy „tego dobrego". Czytając Pani *Czerwonego pająka* nadal będziemy po tej lepszej stronie czy komfort zostanie złamany?

Nie mogę tego zdradzić. Seryjni mordercy mnie nie fascynują. Mam zestaw książek dotyczących tych najsłynniejszych, ale to trochę nudne. *Modus operandi* zwykle jest taki sam. Bardziej fascynuje mnie, kiedy normalny człowiek przechodzi w strefę cienia. Czytelnicy już wiedzą, że Sasza ma swoje za uszami i nie jest kryształową postacią.

Ma Pani już sprecyzowany plan na to, czym zajmie się Pani po rozstaniu z Saszą? Co pojawi się po *Czerwonym pająku*?

Jestem dość zorganizowanym przestępcą. Mam bardzo precyzyjnie zaplanowany czas aż do 2021 roku. Postawiłam przed sobą konkretne wyzwania, mam określoną wizję siebie i plan, który daje mi poczucie bezpieczeństwa. Są w nim również książki inne niż kryminały. To ryzykowna ścieżka, bo mam konkretną etykietkę, i ja, i moi czytelnicy wiemy, na jakiej półce w księgarni stoją moje książki. Przeskoczenie na inną nie jest łatwe. Przykładem jest choćby J.K. Rowling – zjechana po pierwszej „dorosłej" książce po Potterze, została na nowo doceniona po wydaniu kryminałów pod pseudonimem. Może być trudno, ale pisarz musi stawiać sobie wyzwania, inaczej się nie rozwija, tylko zwija i zjada własny ogon.

ANNA ŁAZOWSKA
Absolwentka kierunku Grafika Warsztatowa na ASP w Łodzi. Na co dzień zajmuje się ilustracją i projektowaniem graficznym, w wolnym czasie tworzy smutne kolaże. Wiecznie poszukuje własnego, charakterystycznego stylu, ale wciąż nie może się zdecydować na jeden. Interesuje ją związek człowieka z naturą i ludzka psychika – jej najciemniejsze zakamarki, niedoskonałości, sprzeczności i walka z samym sobą. Marzy o napisaniu i zilustrowaniu własnej książki.

BARBARA RUSINEK
Prawie filmoznawczyni, bardziej zainteresowana przesiadywaniem w kinie oraz śledzeniem zbrodni literackich i filmowych niż rozwojem kariery naukowej. Wariuje, jeśli chociaż przez chwilę nie pracuje produkcyjnie-festiwalowo-planowo-teoretycznie-jakkolwiek nad filmem.

PESTECZKA

KRZYSZTOF PIETRALA | AGATA TRYBUS

Okna w domu powinny być szeroko otwarte. Nie tylko dlatego, że posiane na rabacie kwiaty, pnąc się coraz wyżej, pachną mocnej albo że co jakiś czas ukryty w zaroślu śpiewem uwodzi ptak. Na tym zresztą i tak nie można się przecież zatrzymywać, nawet jeśli czujny nos podchwyci, ucho nie przesłyszy się. Za dużo jest tu spraw bieżących, domowych obowiązków.

Otwiera się je głównie dlatego, że przez narastający upał należy napuścić trochę wiatru. Przynajmniej w kuchni. Pokrywka niebezpiecznie podskakuje na gorącym garnku. Bez żadnej opieki. Buchają kłęby pary. Trzeba natychmiast zmienić płomień i niech sobie pyka dalej. Choć z drugiej strony te muchy... Reszta pokoi, w tym najważniejszy z telewizorem, pozostaje zamknięta. Oblepiona małymi ciałkami kratkowana packa zwisa bezwładnie zahaczona o gwózdek wbity w spękaną framugę okna.

Sień w tym domu jest chłodna i niemal wilgotna. Ciemna jak cień. Trzeba do oporu kręcić śmigiełkiem przełącznika, żeby zapalić zwisającą żarówkę, bo mały lufcik lada moment będzie zastawiony ciężkim koszem pachnącym zielonym koprem. Otwierają się drzwi – nagle wpuszczona jasność nie trwa długo, ale wystarczająco, żeby ukazać niewielką postać schowaną za futryną. I już jej nie ma. Starsza pani wchodzi do środka. Ona nigdy nie pali tej żarówki, bo szkoda zachodu. Swój dom zna na pamięć, choć zdarza się jej zapominać o wielu rzeczach. Obok ciężkiego kosza na wytartej ceracie w świąteczne choinki kładzie pierwsze jabłko ogrodu, w którym aż wije się sok. Staruszka przesuwa kosz, a na owocu skąpanym dotąd w ciemności ląduje ostra szabla słońca. Prawdziwa szabla zakopana jest obok młyna przez ostatniego prawdziwego ułana – pomnik pod sklepem, ale nie wiadomo dokładnie gdzie, bo dziadka już nie ma. Ta nieprawdziwa

tymczasem kroi owoc na kolejne składowe. Ujawniają się kolory, jest kształt i kontrast. Słodkiej, delikatnej skórki i twardej, spękanej skóry. „Czego tu szukasz?" – mówi staruszka, nie przerywając tego, co właśnie robi. Malec wybiega z ukrycia i przejęty krzyczy: „Babciu, babciu, kipieje w kuchni!". „A tam kipieje" – odpowiada staruszka i szybko wychodzi. „Mogę zjeść?" – chłopczyk woła jeszcze za nią i pokazuje na dorodny owoc szepczący nabrzmiałymi sokami. „Poczekaj, Adasiu, na obiad. Zaraz będzie. Po obiedzie dopiero" – recytuje jak pradawne prawo, znikając w kuchni. Ale słowa giną w warkocie motoru przelatującego nisko samolotu rolniczego. Są wakacje. Beztrosko płynie czas. Na wakacjach u babci obiad zawsze jest wcześniej niż u mamy.

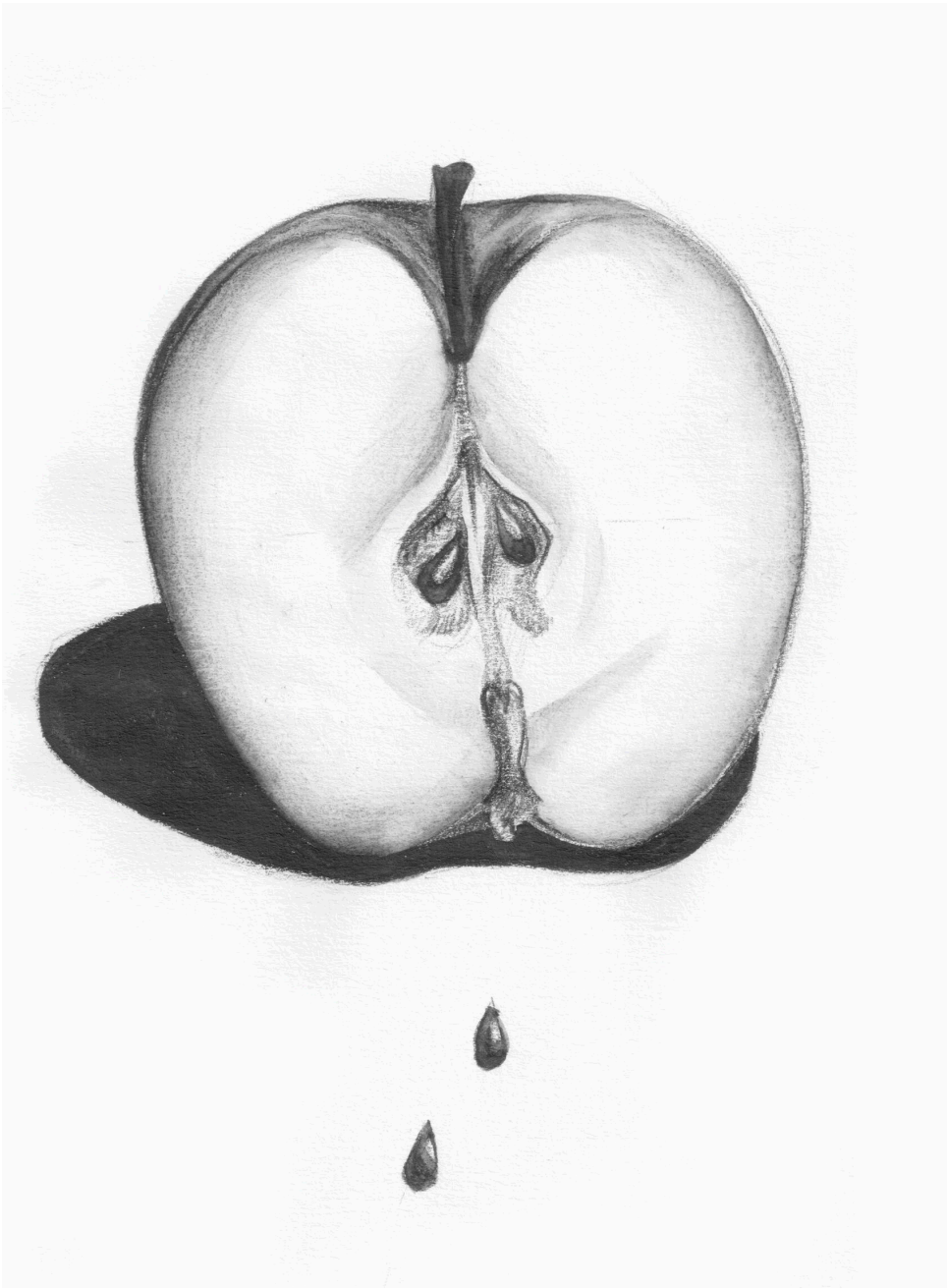

Wiejski dom z otwartymi na oścież oknami stoi pośród pól pociętych na pasy i rozdanych najstarszym synom. Pola stykają się z innymi polami liniami prostymi. Czasem na wąskiej granicy między nimi rośnie pojedyncze drzewo, żeby można było pod nim napić się wody zimnej jak piorun. Jest sierpień i ani jednej chmurki na niebie. Z kapliczek zerkają czcigodne Maryje. Ociężałe suną kombajny. Zanim odejdą w zimowy sen, sypią ziarna na chleb. Ludzie całymi rodzinami zbitymi w jeden zespół wstają z łóżek szybciej niż dni. Niezachwiany rytm życia jest tak samo ważny tutaj jak w mieście, ale nikt o tym nie myśli w ten sposób. Za dużo jest spraw bieżących. Tylko zły gospodarz pozwala słodkim owocom na krzewach stopnieć od słońca.

„Oooo! Oooo!" – dobiega z sieni lament. Chwilę potem wbiega wnuczek do kuchni. „Oooo! Oooo!". „Co się stało?" – odwraca się znad zlewu pełnego tłustej jak rosół wody zaniepokojona babcia. Leje się woda. „Oooo! Oooo!". „Przestań krzyczeć i powiedz, co się stało!". „Oooo! Oooo!". „No mów, co się stało!". „Oooo! Oooo!". „Natychmiast" – rozka-

zuje. „Oooo! Oooo! Połknąłem pesteczkę, połknąłem pesteczkę!" – wydusza z siebie malec. „Nic się nie stało. Przecież nie puści kiełka!" – babcia rzuca szybko przez ramię i powraca do zmywania. „Oooo! Oooo! Będę miał kiełka, nie chcę, boję się". Ze ściany patrzy portret dziadka z czasów młodości, który wnuczkowi dwadzieścia lat później będzie na upartego przypominał Alana Touringa. „Nie chcę kiełka!" – powtarza dziesięć razy za każdym razem głośniej. Babcia wyciera ręce w ścierkę, podchodzi i masuje go po plecach. „No już, już" – mówi. „Wcale nie, nie chcę kiełka!". Babcia poirytowana nieco tą upartością, której nie rozumie, odpowiada, że jutro przyjedzie kuzyn i że jeśli Adaś nadal będzie płakał, to nie będzie się mógł z nim bawić. Ani w ogrodzie, ani w domu, ani ulubioną zabawką, dodaje na koniec. To tylko wzmaga histerię. Gwiżdże para pod pokrywką. Jak przed burzą wzmaga się zajadłość much. Spłoszony kot trąca misę wypełnioną mizerią z koperkiem, przewraca kompot z rabarbarem i hyc przez okno. Toczy się szklanka po stole, co w tym zgiełku trwa całą wieczność, ale szczęśliwie nie tłucze się. Babcia nie wytrzymuje. Babcia nie będzie parzyć lipy na uspokojenie. „Chodź no tu!". Tutaj panuje twardej ręki wychowanie. Łapie wnuczka w pół, co nie jest trudne, kiedy ktoś tylko stoi w miejscu i płacze. Wypróbowanym sposobem przerzuca niewielkie ciało przez kolano. Szybkim ruchem ściąga spodnie, razem z nimi zsuwają się majtki. Ręka babci podnosi się, sięgając zenitu – zaraz z powagą wymierzy karnego klapsa. Dla niej to drobnostka. Następuje odliczanie palec po palcu. „Babciu, babciu, patrz, puściła kiełka" – jak skazaniec krzyczy wnuczek i pokazuje między swoje uda. Ręka, która wisiała chwilę w powietrzu jakby zatrzymując czas, opada teraz z całym impetem i uderza w babcine udo. Raz po raz. Babcia śmieje się głośno. „Nie było go wcześniej, byłem dziewczynką" – mówi przerażony Adaś. „Wnusiu!" – babcia śmieje się tak, jak się dawno już nie śmiała.

Na zewnątrz domu wszystkim doskwiera upał. Dzieci mają przerwę w pracy w polu. I niespożytą energię, kiedy biegną za przelatującym nisko samolotem rolniczym. Prawie dotykał kołami czubków drzew w sadzie. „Panie pilocie, dziura w samolocie" – krzyczą wesoło, podczas gdy z ciemnej dziury sika na sad drobny deszczyk. Spocone Maryje kaszlą samotnie w kapliczkach.

KRZYSZTOF PIETRALA
Wczesne lata osiemdziesiąte. Etnolog. Nie pracuje w zawodzie. Stacjonuje w Krakowie.

AGATA TRYBUS
Magister form przemysłowych, studentka architektury wnętrz. Projektantka, z zamiłowania instruktorka fitness i zumby.

PORADNIK ZIELONEJ WOKALISTKI – ROZMOWA Z RENI JUSIS

DOMINIKA JANIAK | KAJETAN VON KAZANOWSKI

Od artystów oczekujemy przede wszystkim, aby reprezentowali wysoki poziom twórczości, aby nigdy nie zawiedli naszych oczekiwań. Fani szybko przyzwyczajają się do określonych standardów. Niekiedy zaczynają nawet żyć tak jak ich idole. Obserwując działalność i dorobek twórców, możemy również czerpać z nich wzorce dotyczące trybu życia.

Podążając tym tropem, postanowiłam się dowiedzieć, co o zdrowym i w stu procentach naturalnym trybie życia sądzi Reni Jusis, wśród osób znanych uchodząca za jedną z ambasadorek zdrowego trybu życia, autorka książki *Poradnik dla Zielonych Rodziców*. Po siedmiu latach przerwy Reni wydaje właśnie nową, siódmą płytę *BANG!*, na której również przemyciła kilka ważnych informacji uwrażliwiających na bardziej świadomy styl życia.

Powraca Pani po siedmiu latach z nowym albumem, na którym sprzeciwia się Pani nadmiernemu konsumpcjonizmowi. Czy rośnie świadomość wśród ludzi?

Jak najbardziej. Obserwuję to od wielu lat. Moim celem m.in. jest wywoływanie dyskusji, zwłaszcza że zdaję sobie sprawę, że inaczej to na pewno wygląda w dużych miastach, inaczej w małych miasteczkach; dużo też zależy od wieku, od tego, czym się zajmujemy, na jakim etapie życia jesteśmy. Np. student, który żył całe życie w małym miasteczku, będzie marzył o tym, żeby pojechać do dużego miasta na studia i tam właśnie się troszkę zatopić w tym konsumpcjonizmie. Ale z biegiem czasu wielu z nas zmierza w stronę minimalizmu. Wśród moich znajomych widzę wielką potrzebę zatrzymania się, powrotu do natury. To jest piękne i bardzo inspirujące. Dlatego też zawsze

'16 van Kooy

> **WIERZĘ, ŻE TO NIE JEST CHWILOWA MODA, A STYL ŻYCIA, KTÓRY STAJE SIĘ CORAZ POPULARNIEJSZY NA CAŁYM ŚWIECIE: RESTAURACJE FAST FOOD BANKRUTUJĄ**

warto o rozmawiać i budować świadomość. Wychodzę z założenia, że osoby publiczne powinny wykorzystywać rozgłos w słusznej sprawie.

Taką sprawą może być ekologia, która jest Pani bardzo bliska. Coraz częściej media promują zdrowe, ekologiczne produkty, sklepowe półki uginają się od produktów bio, zewsząd widać, że nastała moda na zdrowy tryb życia – jak nie popaść w skrajność? Czy warto skorzystać z porad specjalistów?

Myślę, że do specjalistów udają się ludzie, którzy mają jakieś konkretne problemy zdrowotne lub cele, tutaj raczej chodzi o to, żeby poprawić jakość swojego życia, również przez zmianę pożywienia na lepsze jakościowo. Nie jest od razu konieczna wizyta u dietetyka, wystarczy zamiana produktów wysoko przetworzonych na organiczne, nisko przetworzone. Mam wrażenie, że konsumenci są teraz bardziej świadomi i mają większe oczekiwania - stąd półki pełne ekologicznych produktów. To nie jest moda, a odpowiedź na wymagania rynku. Nie liczy się tylko, żeby było dużo i tanio, coraz ważniejsze jest to, co jest w środku.

Oczywiście przeszkodę stanowi brak czasu potęgowany tempem współczesnego życia, ale z własnego doświadczenia wiem, że przygotowanie samemu potraw z produktów świeżych i organicznych stopniowo się skraca. W końcu trening czyni mistrza. Choć początki są czasochłonne w końcu wchodzi nam to w krew.

Staram się także walczyć z mitem, że ekologiczne to drogie. Wręcz przeciwnie, może to wiązać się również z oszczędnościami finansowymi, np. jeśli chodzi o oszczędzanie wody czy energii lub prozaiczne sprzątanie naturalnymi środkami. Np. zamiast chemicznych produktów czyszczących możemy wybrać tanią sodę oczyszczona czy kwasek cytrynowy. Pisałam o tym w swojej książce – w dłuższej perspektywie czasu okazuje się, że jest to opcja bardziej ekonomiczna, a przy tym także zdrowsza.

Uczestniczyła Pani w Olsztyn Green Festiwal oraz wspiera Pani akcję „Adoptuj Pszczołę" – jak bardzo tego typu akcje zmieniają mentalność ludzi? Czy mogą one przekonać niedowiarków, by zaczęli bardziej świadomie obchodzić się ze środowiskiem?

Trudno to zmierzyć, ale takie akcje na pewno zwiększają świadomość. Wszelkie inicjatywy pokroju olsztyńskiego festiwalu jednocześnie propagują zdrowy styl życia, jak i rozbudzają ciekawość. Być może ktoś wróci do domu i zacznie więcej o tym czytać, interesować się – to będzie jego pierwszy krok.

Podam taki przykład: 10 lat temu, kiedy jeszcze mieszkałam w Warszawie, chciałam kupić jaja zerówki, co było bardzo trudne, w większości sklepów były trójki i był napis „jaja wiejskie" (przy okazji uważałabym na tak sze-

rokie określenia, które nie zobowiązują do niczego, bo na wsi też można trzymać kury w klatkach i karmić paszą modyfikowaną), a dzisiaj prawie w każdym sklepie można dostać „zerówki". Jest to odpowiedź producentów na wymogi konsumentów, którzy tych produktów zaczęli się domagać. Dlatego im częściej będziemy czytać etykiety i zastanawiać się nad składem i pochodzeniem produktów, tym będzie ich więcej. I wierzę, że to nie jest chwilowa moda, a styl życia, który staje się coraz popularniejszy na całym świecie: restauracje fast food bankrutują, w Japonii nie ma już McDonalda. Świadomość konsumentów stale się rozwija – chcemy wiedzieć, co mamy na talerzu czy w kosmetykach lub czym są konserwowane zabawki drewniane. Dzieje się to m.in. właśnie dzięki takim festiwalom. Ważna jest także edukacja młodszych pokoleń, ponieważ dzieci biorą zdrowy styl życia za coś naturalnego, można powiedzieć, że potrafią wyssać go z mlekiem matki.

Wiele rodzin ma problem, jak wytłumaczyć dzieciom, że słodycze i chipsy nam tylko szkodzą, a zdrowe zamienniki są równie pyszne. Pani dzieci się nie buntują?

Moje dzieci znają smak chipsów, bo jak idą na kinderparty, nie mogę im zakazać spróbowania tego, co próbują wszyscy. Najważniejsze są jednak wzorce zaczerpnięte z domu – jeśli rodzice sami jedzą słodycze i chipsy, to tego się nie uniknie, muszą dawać przykład i sami jeść np. dużo warzyw. Ważny jest też sposób przyrządzania potraw – te, które gotujemy w domu, są aromatyczne, zachęcają wszystkich domowników do spróbowania. Raz w tygodniu robimy sobie słodki dzień, kiedy pieczemy ciasto, oczywiście ze zdrowych produktów, zastępując cukier zdrowymi odpowiednikami, zaś w pozostałe dni jemy suszone i świeże owoce.

Nie da się dzieci zmusić do jedzenia warzyw, może to u nich spowodować jedynie strach i dyskomfort, ale jeśli ich jedzenie będzie zdrowe, a zarazem kolorowe i atrakcyjnie podane, nie będą się czuły pokrzywdzone. Słowo dieta zawsze budzi stres i poczucie, że musimy sobie czegoś odmawiać, natomiast zdrowe odżywianie to przede wszystkim bardzo zróżnicowane posiłki, pełne przypraw, kolorów i zapachów.

Temat numeru to *100% natural* – czy uważa Pani, że faktycznie jesteśmy w stanie żyć w całkowicie naturalnie?

Nie, gdyż mieszkamy w betonowych dżunglach, obcujemy z zanieczyszczonym środowiskiem. Oczywiście możemy zmienić np. sposób ogrzewania domu na bardziej ekologiczny, ale nie mamy często wpływu na

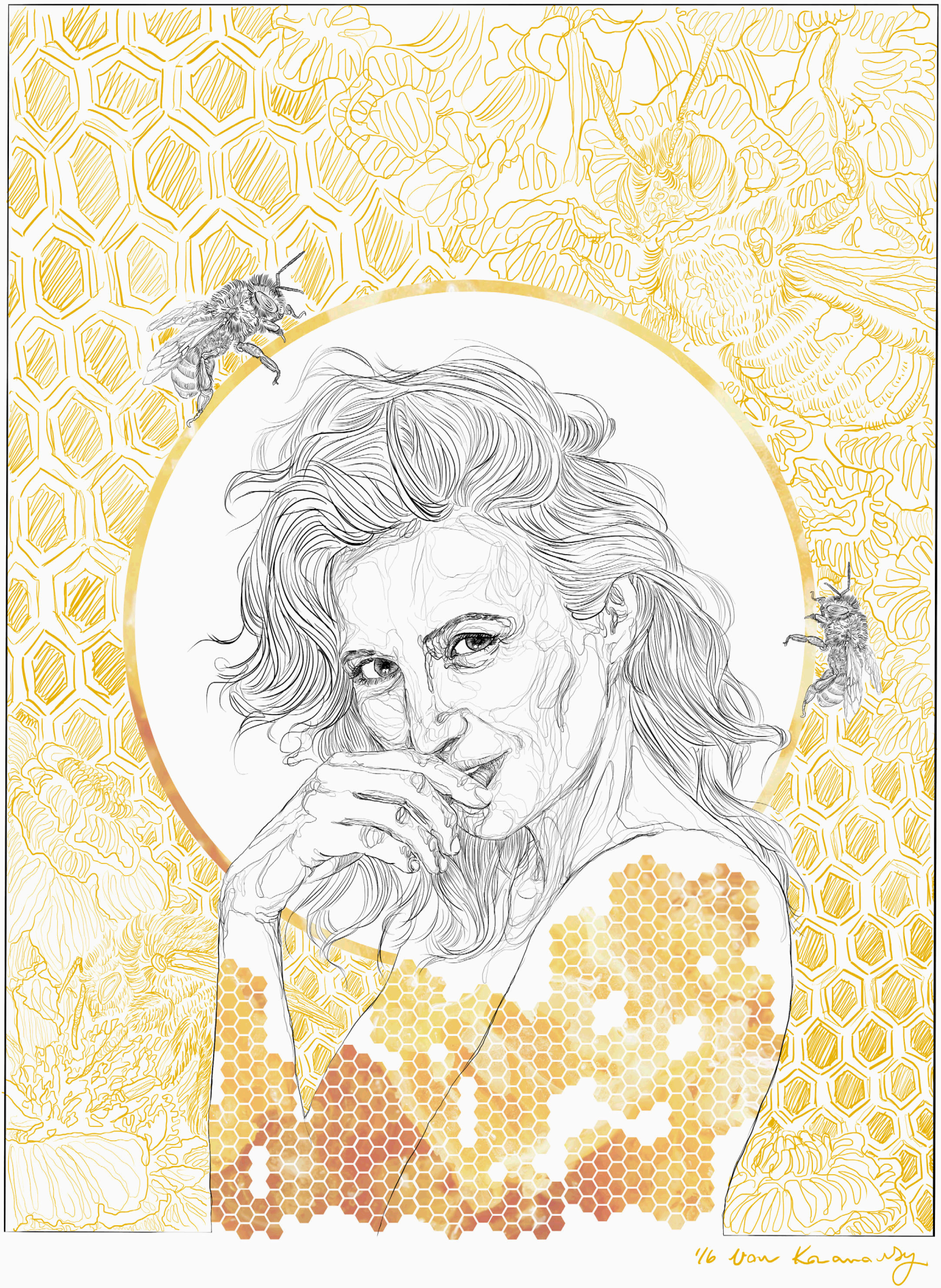
'16 Van Kamansky

naszych sąsiadów. Gdzie się nie obejrzymy, to pozornie pomocne rozwiązania szkodzą nam. Najlepszym przykładem są fast foody, które sprzedają żywność przetworzoną, bardzo tanią i wszędzie dostępną. Żyjemy w czasach, w których ludzie są otyli i niedożywieni jednocześnie, bo w swym pożywieniu mają mało minerałów, witamin, bardzo dużo cukru… Coraz więcej osób ma alergie, nietolerancje pokarmowe czy np. atopowe zapalenie skóry. Żeby żyć w stu procentach naturalnie, musielibyśmy chyba wyprowadzić się na bezludną wyspę.

Mimo tych trudności powstaje dużo ciekawych inicjatyw, których celem jest samowystarczalność. Budowane są małe społeczności, a następnie osady z ekologicznych materiałów, przy nich stawiane są ogródki, gdzie członkowie wspólnoty uprawiają warzywa, posiadają również małe elektrownie wiatrowe. Można zatem żyć gdzieś na skraju pola czy lasu i być samowystarczalnym. I chociaż nie jest to jeszcze zbyt powszechne, to takie działania pokazują, że można czasami zwolnić i żyć w alternatywny sposób, w 100% naturalnie. Jest to jednak duże wyzwanie, na co nie każdy musi mieć ochotę.

Warto się przyjrzeć, czego nasz organizm nie toleruje, a co mu pomaga, warto uprawiać sport, czytać etykiety, przyglądać się temu, co jemy. Słowem: zrobić sobie taki detoks. Warto przejąć odpowiedzialność za swoje zdrowie, za zdrowie przyszłych pokoleń i otaczające nas środowisko. Takie etyczne postępowanie zgodne z naturą jest naszą powinnością.

DOMINIKA JANIAK
Świeża studentka WSB w Poznaniu. Odrywając się od rzeczywistości, zmierza w stronę teatru. Chodząc z głową w chmurach, namiętnie słucha muzyki, jednocześnie analizując relacje międzyludzkie. Ze skłonnościami do zakupoholizmu i pracoholizmu. W nielicznych wolnych chwilach obmyśla plan przyszłych podróży. Jesiennymi wieczorami z kubkiem gorącej herbaty, w towarzystwie dobrego filmu robi szaliki.

KAJETAN VON KAZANOWSKI
Absolwent projektowania ubioru, spędzający wolne chwile rysując przy komputerze. Pieprzony esteta, zachwycający się każdym odstępstwem od normy, oraz fanatyk muzyki, wydający ostatni grosz na kolejną płytę.

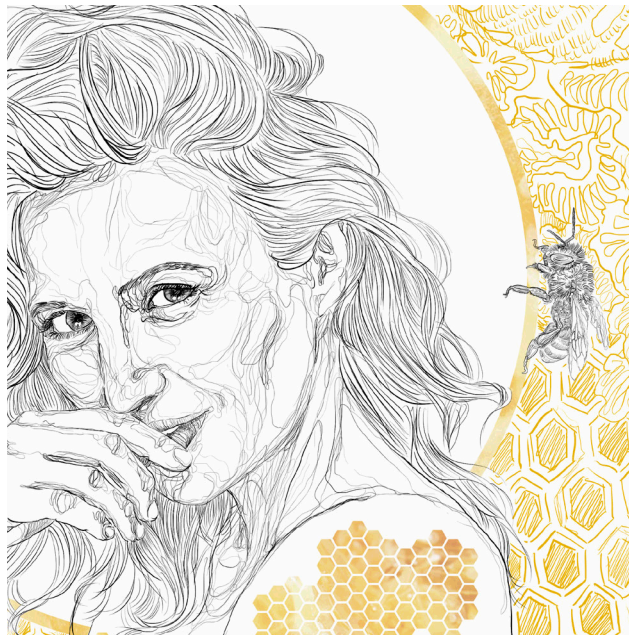

RENI JUSIS

WOKALISTA I AUTORKA TEKSTÓW ORAZ MUZYKI, PRODUCENTKA MUZYCZNA. URODZONA 29 MARCA 1974 ROKU W KONINIE. SWÓJ DYPLOM OBRONIŁA NA WYDZIALE DYRYGENTURY CHÓRALNEJ, EDUKACJI MUZYCZNEJ I MUZYKI KOŚCIELNEJ AKADEMII MUZYCZNEJ W POZNANIU. W KWIETNIU TEGO ROKU POJAWIŁ SIĘ SIÓDMY ALBUM ARTYSTKI, ZATYTUŁOWANY *BANG!*, Z KTÓREGO POCHODZĄ M.IN. SINGLE: *BEJBI SITER* I *ZOMBI ŚWIAT*. WOKALISTKA WŁAŚNIE WYRUSZA W TRASĘ KONCERTOWĄ PROMUJĄCĄ NOWĄ PŁYTĘ. ARTYSTKA WYDAŁA RÓWNIEŻ KSIĄŻKĘ WSPÓLNIE Z MAGDĄ TARGOSZ, *PORADNIK DLA ZIELONYCH RODZICÓW*, I JEST ZNANA Z PROPAGOWANIA ZDROWEGO TRYBU ŻYCIA.

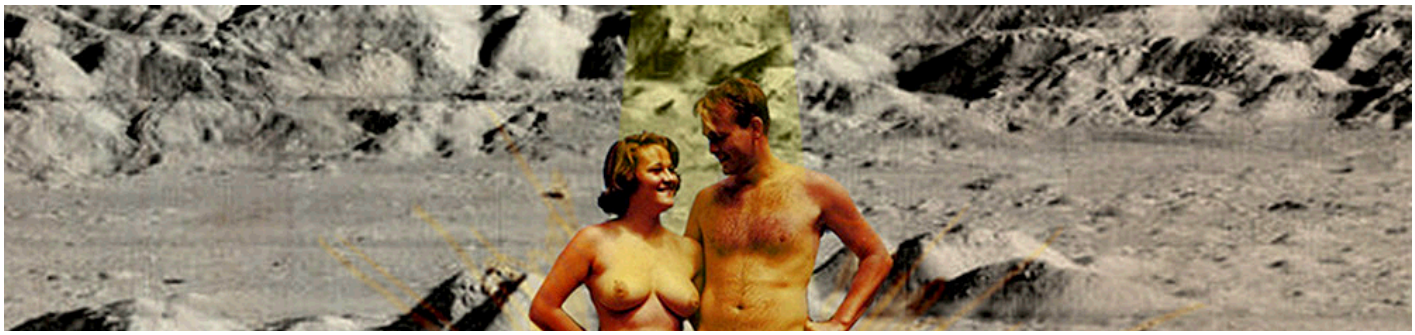

FOREVER VAMA VECHE

PAWEŁ SŁOŃ | MAŁGORZATA MACIEJEWSKA

W barze leci polski Bajm, co druga laska opala się topless, na plaży rozbitych kilka namiotów. Atmosfera jak na festiwalu muzycznym, piwo tanie jak barszcz. Na zaproszenie kolegi przejechałem ponad 1400km trzema środkami transportu z Krakowa do Vama Veche – ostatniej wioski w Rumunii przed Bułgarią nad Morzem Czarnym. Po drodze pytam o to, co zostało z kultowej plaży nudystów i przystani hipisów czasów Ceauşescu. A zostało dużo, choć jak ze wszystkim – jest inaczej niż kiedyś.

Laurian, Rumun, 27 lat, studiuje w Holandii. Kierowca BlaBlaCara, wiezie mnie z Krakowa do Brasova (950km), co jest okazją do przesłuchania klasyki death metalu i hard rocka.

W Krakowie byłem jedną noc, przyjechałem tylko zobaczyć miasto, właściwie to byłem w Trutnovie na metalowym Obscene Extreme Festival. Sam jadę do Brasova, do rodziny, ostatnio byłem u nich na święta, na co dzień mieszkam w Holandii, gdzie piszę doktorat z chemii. Brasov jest piękny, jak Heidelberg, cudne miasteczko otoczone górami. Jak wjedziemy, to zobaczysz taki jebitny napis „BRASOV" na wzgórzu, jak w Hollywood. Świeci się w nocy – stary, padniesz, jak to zobaczysz! No ale to jest Rumunia... Vama Veche, haha, jedź koniecznie! Jedno wielkie party hipisów, pełna wolność. Dawno już tam nie byłem, ale kiedyś to się imprezowało. Konstante pierdol, tam nic nie ma, nudy na pudy (wiesz, że burmistrz Konstanty poszedł za kratki za korupcję?), jedź od razu do Vama Veche, to jest parędziesiąt kilometrów na południe. Są jakieś autobusy, bez problemu się tam dostaniesz.

Andre, Rumun, około 23 lat, pracownik hostelu w Brasovie.

No więc na co dzień szansa na wyrwanie laski to jest tak 50-70 proc. W Vama Veche to jest 120 proc. Sorry, stary, ale jak tam nic nie zaliczysz, to jesteś pizda, hahaha. Tam się jedzie na nieustanną imprezę! Sam widziałem, jak się parka na plaży ruchała, obok mnie, na nic nie zwracali uwagi – to jest Vama Veche! Ja to w ogóle mam szczęście, kiedyś mi Belgowie zrobili orgię w recepcji hostelu, jak to zobaczyłem, od razu uciekłem...

W Vama Veche na spokoju można się rozbić na plaży, nikt się nie przywali. Jak ja tam bywałem, to melinowałem się w porzuconej łodzi ratunkowej, haha. Tak właściwie to na chuj wieziesz ten namiot przez tyle kilometrów. My zawsze braliśmy konserwy i chleb, a na miejscu tylko kupowaliśmy alkohol i balangowaliśmy do rana.

Faktycznie, przemysł turystyczny wkręca się do Vama Veche. Ale jest silny opór, bo miejsce jest szczególne, obecnie jest przystanią backpackersów i innych takich. Ale deweloperzy pchają się tam, chcą zabudować wiochę hotelami. Według mnie to już jest chyba ostatni moment, by odwiedzić takie Vama Veche, jakie znamy.

W pociągu do Konstanty czytam *Wicehrabię Przepołowionego* Italo Calvino:

Dużo rozmaitych rzeczy mówiło się o Protofungo, choć nikt ze zdrowych nigdy tam wewnątrz nie był, ale w jednym wszystkie te głosy były zgodne: że życie tam było jedną nie ustającą hulanką. Wioska, zanim stała się schronieniem trędowatych, była gniazdem prostytutek, do którego ściągali marynarze wszystkich ras i religii, i wyglądało na to, że kobiety nadal zachowały tam rozpustne obyczaje dawnych czasów.

Para spotkana w barze dworcowym w Konstancie, 50 km od Vama Veche. Oboje przed trzydziestką, Rumuni, bardzo zmęczeni.

Tak, wracamy z Vama Veche... Jak się tam dostaliśmy? Czekaj... Daj chwilę... A, tak, pojechaliśmy samochodem z kumplami z Bukaresztu, sami jesteśmy ze stolicy. Haha, sorry, musiałem sobie przypomnieć, nie styka mi jeszcze dobrze, wiesz – Vama Veche... Impreza dobra, muza cały czas: drum'n'bass, rock, co tylko zechcesz. My kimaliśmy w namiocie, o tym, co leży tutaj pod stołem. Nie masz się o co bać, nie jest to nielegalne, nikt cię nie zgarnie.

Mihai, 24 lata, Rumun, pracownik baru Champs Area w Eforie Nord, 40 km od Vama Veche.

Na nielegalu możesz się kimnąć na plaży, w sensie w namiocie, nikt się nie przyczepi, ale nie masz żadnej gwarancji. Ludzie chleją, przejdzie taki pijany, gwizdnie ci telefon i po ptakach. Zawsze możesz walnąć się gdzieś w ogrodzie czy na strzeżonym polu namiotowym, płacisz z 20-30 lejów[1] za noc i masz spokój. W Vama Veche byłem po raz pierwszy, jak miałem 19 lat, epicka najebka. Teraz robię jako koleś od wszystkiego w barze i pensjonacie w Eforie Nord, to tam wiozę telewizor, który masz na kolanach. Sam jestem z Alba Iulia, to w Transylwanii. Wiesz, jest czas na życie, na pracę i na zabawę. Jak się nie zabierzesz za życie, to życie się zabierze za ciebie, hahaha.

> **WIESZ, JEST CZAS NA ŻYCIE, NA PRACĘ I NA ZABAWĘ. JAK SIĘ NIE ZABIERZESZ ZA ŻYCIE, TO ŻYCIE SIĘ ZABIERZE ZA CIEBIE,**

Teraz pracuję, ale pisuję też poezję, masz tutaj odręczne tłumaczenie angielskie. Nie, dziewczyna, która tłumaczyła z rumuńskiego te erotyki, nie była ich adresatką. To dla Andrei, starała się o mnie przez miesiąc, ale ja wtedy byłem chujem, nie lubiłem ludzi, jednak w końcu mnie złamała.

1 Kurs leja i złotówki wynosi prawie 1:1.

Nauczyła mnie kochać ludzi, puściła mi jazz i uśmiechała się, słuchając muzyki, czym mnie zafascynowała. Sam byłem punkiem, bardziej takim ideologicznym, kontestatorem, słuchałem przede wszystkim hip-hopu, teraz lubię i jazz. Byliśmy ze sobą dwa tygodnie, po czym zginęła w wypadku samochodowym razem ze swoją matką w 2009 roku, 20 czerwca była rocznica...

Z Polski jesteś? Mam kumpla z Polski, Kubę. Jest w Rumunii na Erasmusie i chodzi z moją siostrą. Ale nie lubię go, jest leniwy, nic nie pomaga. Siostra jest prawie 10 lat starsza. Tak, hahaha, 10 lat nic, a tu hokus-pokus i jestem ja. A właściwie my, bo mam brata bliźniaka!

Ja jestem otwarty, komunizm to nie było to... no… jak to jest po angielsku? O, mam – niewolnictwo! Rozmawiam dużo ze starszymi i słuchaj, kiedyś jak się hajtałeś, dostawałeś przydziałowe mieszkanie z dwoma łóżkami. Teraz tylko wszyscy kombinują, jak zarobić... Ale nie, nie jestem komunistą!

Vama Veche, haha, stary, to się przez „K" wymawia. Jak jedziesz dalej, to musimy Ci napis zrobić. Zajedź ze mną do baru. O, masz, napisałem ci na kartonie, trochę seledynowy, ale widać. Chcesz piwo? Raluca ci naleje, to ta blondynka przy barze...

Maria, Rumunka, 20 lat, wsiada do autobusu do Mangalii (10 km od Vama Veche) w szczerym polu.

(łamanym niemieckim) *Co ja robię? Haha, jebię się. Kunden* [niem. „klienci"]*? Tak, zawsze z kondomem [no, troszkę się nie zrozumieliśmy… – przyp. aut.]. Masz kasę? Nie? Szkoda... Zresztą i tak boli mnie głowa... Tutaj wysiadam, pa!*

Luminita, Rumunka, około 50 lat. Opala się nago, ale okrywa się ręcznikiem, gdy podchodzimy do niej na plaży w Vama Veche.

Jak tu przyszłam pierwszy raz, to było chyba w 1981 roku. Mieszkałam wtedy w 2 Mai, ostatniej wiosce przed Vama Veche. Przechodziliśmy plażą, wtedy tutaj nic nie było, parę domków, pola kukurydzy i dziewicza plaża, można było się spokojnie nago opalać. Ale wiem, że już w latach 50. różni artyści przyjeżdżali tutaj, szukając ucieczki przed komuną. Teraz to już nie jest to, pobudowali barów, gra muzyka, zrobiła się masówka, inny klimat. Ale dalej można się opalać nago, haha.

Vlad, Rumun, 32 lata, na co dzień żyje w Azji, gdzie się poznaliśmy. Pijemy piwo na plaży w Vama Veche, w tle gra reggae.

Do Vama Veche przyjechałem po raz pierwszy 15 lat temu i od tego czasu przyjeżdżam kiedy tylko mogę. Miałem wtedy 15, może 16 lat, nie pamiętam dokładnie, dużo piliśmy. Ale wtedy był tylko jeden bar, ten za nami, Stuf. Był 10 razy mniejszy, parę osób siedziało obok baru. Alkohol kupowali w sklepie w mieście i dowozili tutaj, nie było biznesu, organizowali to zwykli ludzie chcący się zabawić. Więc piliśmy, graliśmy w szachy i na gitarze oraz słuchaliśmy Pink Floyd. Było trochę inteligencko, jeśli można tak powiedzieć, wiesz, o co chodzi. Nie chodziło o to tylko, żeby się najebać i spać na plaży. Haha, tak, robiliśmy i to, ale nie było to sensem tego wszystkiego. Gadało się o filozofii, życiu, a przede wszystkim antykomunizmie. To miejsce zaczęło się jako hipisowska przestrzeń wolności. Wiocha miała 10 domów, ale to chyba początek lat 80., kiedy zdecydowano się przyjechać do Vama Vache, które jest tak bardzo oddalone od wszystkiego i rzut kamieniem od Bułgarii, chyba pół kilometra, o patrz, tam jest wieża strażnicza niedaleko.

Manifestacją kontestacji był m.in. naturyzm. Ludzie przyjeżdżali, zrzucali ciuszki i cieszyli się niezależnością. Do dzisiaj zresztą tak jest, patrz na te topless laski dookoła, jak chcesz, możesz też się rozebrać, przecież po to cię zaprosiłem, haha. Ta idea cieszenia się wolnością w przyzwoity sposób

jest nadal żywa. „Przyzwoita" – po prostu przez to rozumiem wszystko to, co nie krzywdzi innych. Jak się najebiesz i latasz nago, to nie jest nieprzyzwoite, wiesz, o co mi chodzi. A potem pobudowali trochę więcej barów, zaczęto rozbijać namioty na plaży i się zaczęło. Największy hype *był, kiedy jeden z zespołów rockowych nazwał się Vama Veche i nagrał cały za-je-bis-ty album pod tym samym tytułem w 1999 roku – no i przyszedł* boom*, miejsce stało się tym, czym jest teraz.*

Spało się jedynie w namiocie albo na plaży, czasem z twarzą w morzu, zależy, ile wypiłeś, haha. Wiem, że jacyś kolesie kiedyś zrobili ognisko z ławek, a potem upiekli na nim kolby, jakie zawinęli z pola. Bo kiedyś nie było możliwości kupienia pieczonej kukurydzy.

Alina, 24 lata, blond Rumunka z hiszpańskiego baru w Vama Veche, gdzie piła capuccino.

Grali Floydów na plaży? Hmm, nic dziwnego, jeśli bierzesz pod uwagę, jak to się wszystko zaczęło. Ja tu jestem drugi albo trzeci raz, nie pamiętam. W październiku jadę do Londynu pisać doktorat z immunologii u asystenta faceta, który był nominowany do Nobla. A poza tym napisałam książkę, 120 stron, beletrystyka, Herbata z żaby. Tłumaczenie angielskie do kupienia tylko w formie e-booka na Amazonie, kosztuje jakieś grosze.

Julia, 20 lat, Rumunka, barmanka.

Jeżdżę tutaj od 4 lat. Kurna, wtedy nie jeździli tutaj ludzie słuchający manele[2]*, a teraz niestety pojawia się ich tutaj coraz więcej...*

Alex, 34 lata, Rumun, zabiera mnie stopem z Vama Veche do Mangalii.

Vama Veche jest świetne, uwielbiam ten klimat, cholera, chyba muszę się tam wybrać na urlop. Tak, jest szalona impreza, ale to nie jest jak Niemcy czy Dania, wiem, bo trochę tam mieszkałem, ale postanowiłem wrócić. Vama Vache to największe szaleństwo, na jakie można sobie pozwolić w Rumunii. W końcu nie zapominaj – jesteśmy ortodoksyjnym krajem!

2 Rumuński odpowiednik naszego disco polo.

PAWEŁ SŁOŃ
Ur. w 1988 r., z wykształcenia politolog, na co dzień bloger filmowy (dobryfilmzlyfilm.wordpress.com). Mieszkał ponad 2 lata w Malezji, gdzie promował polską kulturę i sprzedawał mieszanki gum do bieżnikowania opon. Publikował m.in. w miesięczniku "Znak", "Vice" Polska czy Onecie.

MAŁGORZATA MACIEJEWSKA
Absolwentka wiedzy o teatrze UJ, obecnie studentka performatyki UJ i dramaturgii PWST. Pisze dramaty i opowiadania, jest miłośniczką czeskiego kina. Poza zajęciami literackimi zajmuje się ilustracją, fotografią i projektowaniem.

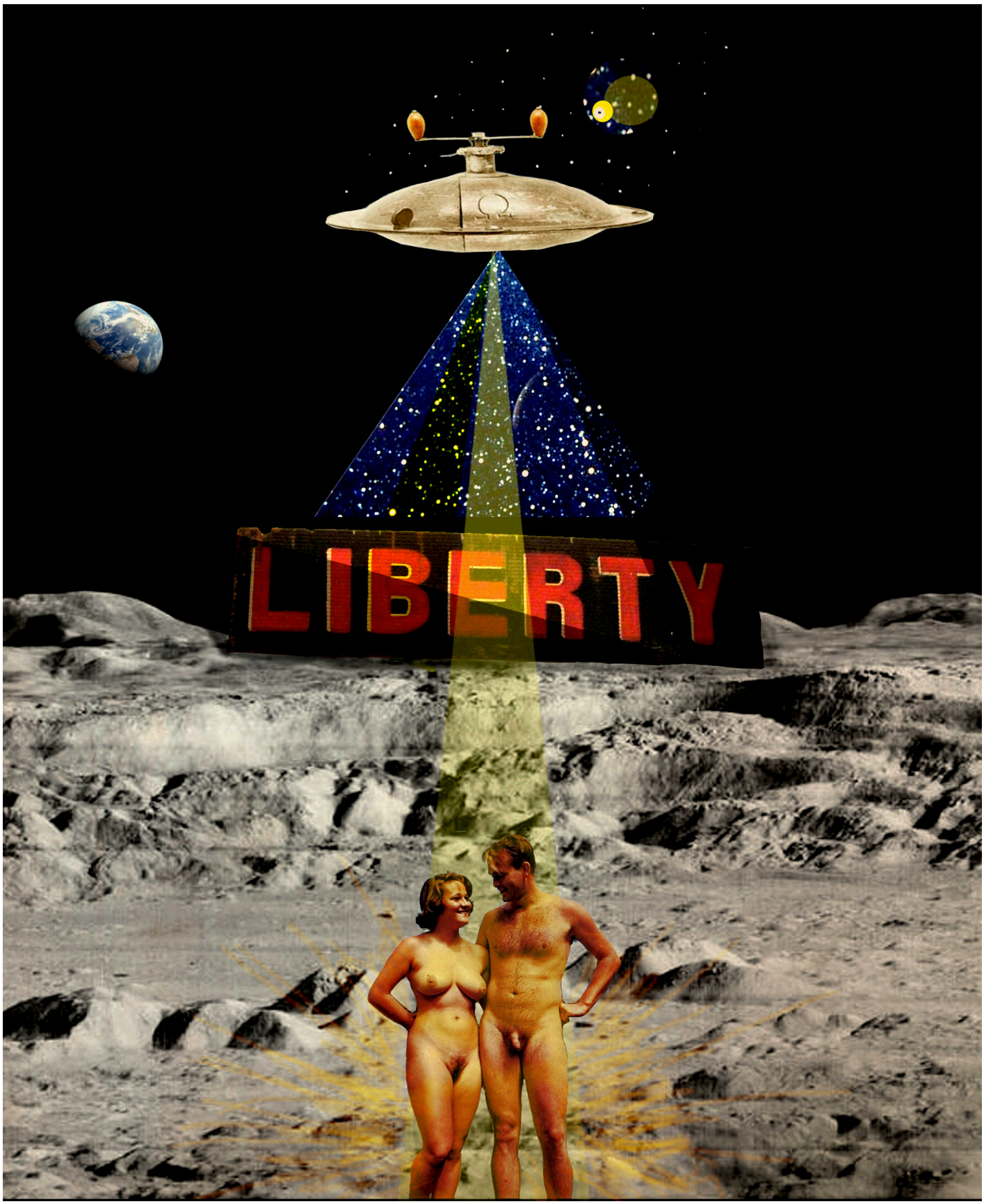
LIBERTY

PAJĘCZAKI I PAWIE, CZYLI WYPISKI Z ZAKAUKAZIA

AGATA WIECZOROWSKA

Właśnie wróciłam z Armenii i Gruzji, mam chwilę między wypakowaniem plecaka wspomnień a pralką brudnych ubrań. Komputer kurzył się przez ponad dwa tygodnie, a klawiatura czekała na palce.

Chciałam napisać coś mądrego. Po powrocie trudno jednak napisać coś, co nie będzie wylaniem tęsknoty. A że tęsknoty lepiej serwować w samotności, podzielę się kilkoma obserwacjami na temat absolutnego, nieskalanego piękna obu tych krajów. Zarówno Gruzja. jak i Armenia są w znacznie mniejszym stopniu przekształcone przez człowieka niż kraje europejskie. Do kolejnego kraju z „zakaukaskiego tryptyku", Azerbejdżanu, nie udało mi się w tym roku dotrzeć z powodu braku wizy, ale z relacji innych podróżników wynika, że urzeka on dzikością krajobrazu i charakterystyczną zakaukaską przyrodą.

Owoce i warzywa większe i bardziej soczyste niż europejskie czy krajobrazy, w których nie da się dopatrzeć śladów bytowania człowieka – to tylko niektóre z rzeczy przychodzących mi na myśl, kiedy wspominam podróż.

ZAKAUKASKI KWIATOSTAN

Roślinność na Zakaukaziu w porównaniu do naszej rodzimej, europejskiej wydaje się nadmiarowa. Trawy są tam wyższe, łaskoczą powyżej kolan. Kwiaty jakby o większych kielichach, a drzewa szerzej rozpościerają konary. Przeglądając zdjęcia ze Swaneti, górzystego regionu Gruzji, w którym można zobaczyć i dotknąć lodowiec, łapię się na tym, że zdjęcia są lepsze przed niż po nałożeniu filtra. Roślinność wybucha tam całą gamą nasyconych kolorów, trawy lśnią w słońcu intensywną zielenią, a niebo mruga głębokim błękitem. Zerwane w górach kwiaty szybko nie więdną, można je spokojnie zbierać cały dzień, wieczorem wracać do domu i wkładać do dzbanka, a te wciąż zachowują swoją świeżość.

NIEOFICJALNE PARKI CIEMNEGO NIEBA

Przed wyjazdem na Zakaukazie czytałam akurat o parkach ciemnego nieba, czyli naturalnych miejscach, które nie wykazują zanieczyszczenia sztucznym światłem. Dla przykładu w dużych miastach nocą na niebie można zobaczyć około 20 gwiazd, w parkach ciemnego nieba aż 2 000. Takie parki znajdują się póki co głównie w Ameryce Północnej i Europie. Służą jako schronienie dla nocnych zwierząt, których rytm dobowy rozregulowałby się od sztucznie wytworzonego światła. Często też służą astrologom do celów obserwacyjnych. Na dzień dzisiejszy nie ma ich na Zakaukaziu, ale doświadczenie nocy w Gruzji jest tak potężne, że nie licząc gwiazd na niebie, jestem przekonana, że miejsca w których byłam spokojnie uzyskałyby status parku ciemnego nieba.

DOMKI HOTELOWE W DREWNIANYCH BECZKACH

W Armenii nieopodal małej miejscowości Halidzor utworzono kompleks drewnianych domków do wynajęcia o nazwie Harsnadzor Resort. Człon „resort" sugeruje pewną elitarność usługi hotelowej, ale nocleg od osoby ze śniadaniem nie przekracza tu osiemdziesięciu złotych na osobę. Wszystkie domki mają kształt ogromnych beczek po winie. Tylko jedna ściana jest w pełni przeszklona i daje wspaniały widok na przepaść, nad którą położony jest kompleks.

LEKCJA Z PAJĘCZAKÓW

Drewniany domek zbudowany jest z desek wyprofilowanych na kształt beczki. Między deskami, szczególnie tymi budującymi podłogę są małe szpary, przez które do środka domku raz po raz wślizgują się pająki. Pająki zamieszkujące Armenię niewiele mają jednak wspólnego z naszymi europejskimi pająkami. Te armeńskie są znacznie większe, o grubszych, pokrytych meszkiem odnóżach. Widok pierwszego napotkanego w Armenii pająka robi wrażenie na niespodziewającym się takich rozmiarów europejskim turyście. Właściciele kompleksu hotelowego, być może w ramach zatarcia nieprzyjemnego

wrażenia po nocy spędzonej z tutejszymi gigantycznymi pająkami, w ciągu dnia ku pokrzepieniu serc i oczu gości wypuszczali na teren hotelu pawie.

SWAŃSKA SÓL

Gruzińskie i armeńskie warzywa też zasługują na uwagę. Są niesamowicie aromatyczne, soczyste i znacznie większe od europejskich. Największym faworytem gruzińskiego stołu jest pomidor, który serwowany jest w akompaniamencie ogórka, cebuli i swańskiej soli praktycznie codziennie. Swańska sól to kolejna tutejsza eko nowinka. Swańską sól można kupić na pobliskim targu albo przygotować samemu. Składa się z tradycyjnej soli pomieszanej z pokruszonymi na miazgę aromatycznymi ziołami. Ma bardzo mocną woń. Kiedy po kolacji przyprawionej swańską solą nie umyje się zębów i pójdzie spać, poduszka utrzymuje charakterystyczny zapach przez kilka kolejnych dni.

EKOLOGICZNE KORKI DROGOWE

Doświadczenie drogi w Gruzji i Armenii też odbiega od naszych europejskich standardów. Większość mniejszych dróg jest niewyasfaltowana, a przejeżdżające po nich marszrutki i samochody wzbijają tumany kurzu, niczym wielbłądy na pustyni. Samochodów jest tam mniej niż w Europie, stąd korki drogowe spowodowane dużym natężeniem pojazdów zdarzają się raczej rzadko. Jeśli już coś wstrzyma ruch drogowy, są to krowy, które spokojnie

i statecznie przemierzają drogę, udając się z pastwiska do obory. Gruziński kierowca, napotkawszy taką przeszkodę, wyłącza ze spokojem silnik i sięga po gruzińskiego papierosa.

Granice eko Gruzji kończą się w paczce papierosów. Tytoń to narodowe uzależnienie, szczególnie rozpowszechnione wśród kierowców marszrutek. Przez dwa tygodnie jeżdżenia marszrutkami po Gruzji i Armenii nie udało mi się odnotować choćby jednego przypadku niepalącego kierowcy. Cóż, żyjąc w tak ekologicznym i zdrowym kraju, chyba mogą sobie na to pozwolić.

AGATA WIECZOROWSKA
Filolog języków obcych (angielski) i bardzo obcych (portugalski i rumuński). Pochodzi z Zielonych Płuc Polski. Na studia przeprowadziła się do Krakowa. Pracuje w korporacji, w wolnym czasie czyta „Muminki" i prowadzi blog: kaluzapelnamirabelek.wordpress.com

WE WANT YOU!

PISZ NA: REDAKCJA@FUSS.COM.PL

FUSS WSPÓŁTWORZONY JEST PRZEZ PASJONATÓW – OSOBY OTWARTE, CHĘTNE DO DZIELENIA SIĘ SWOIMI PRZEMYŚLENIAMI, ZAINTERESOWANIAMI, PODRÓŻAMI, KULTUROWYMI I SPOŁECZNYMI FASCYNACJAMI. ZACHĘCAMY DO KONTAKTOWANIA SIĘ I PRZESYŁANIA SWOICH PROPOZYCJI TEKSTÓW.

TEMAT NUMERU 21:
ROZMIAR MA ZNACZENIE?

ZACHĘCAMY TAKŻE DO WSPÓŁPRACY GRAFIKÓW, ILUSTRATORÓW, FOTOGRAFÓW I WSZYSTKICH, KTÓRYM NIE OBCA JEST WOLNOŚĆ TWÓRCZA I CHĘĆ ARTYSTYCZNEGO WYRAZU.